BIBLIOTEKA UMCS

W NUMERZE:

RZUĆ W BŁOTO BĘDZIE ZŁOTO

W MONTE CARLO NIE PRZEGRAŁEM
Krzysztof Janowicz

NIE POWTARZAĆ SIĘ...
Mirosław Derecki

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENA

LUBLIN 2 XII 1973 Nr. 24 (536) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Przyszli inżynierowie są zmęczeni

Wojciech Kurhan

ŻE studia dla pracujących (zaoczne i wieczorowe) są i pewnie długo jeszcze będą poważną szansą uzupełnienia edukacji zawodowej naszego społeczeństwa — o tym nie potrzeba nikogo przekonywać (na trzech uczelniach lubelskich — WSI, UMCS i AR — w ubiegłym roku akademickim studiowało ponad 6000 osób systemem zaocznym bądź wieczorowym; w tym roku rozpoczęto ponadto specjalne dokształcanie nauczycieli). Że polski system edukacji narodowej szykuje się do gruntownej i długofalowej reformy — o tym ogólnie wiadomo. Że — wreszcie — przygotowując się do owej reformy, dokonano pracowitego rozpoznania dotychczasowej sytuacji w dziedzinie oświaty — to fakt.

Powstaje tylko pytanie, czy wszystkie typy kształcenia zostały w równym stopniu objęte owym rozpoznaniem? Zostawmy na boku kwestię dokształcania nauczycieli, problem specyficzny, o którym zresztą pisano już na tych łamach. W „Założeniach i tezach raportu o stanie oświaty" (Warszawa 1973) o sytuacji studentów pracujących mówi się bardzo niewiele. Albo też mówi się następująco: „Ze wszystkich kierunków kształcenia i doskonalenia osób pracujących szczególnych preferencji wymaga system dokształcania nauczycieli" (s. 46). Jest w tym racja o tyle, że pośród studentów pracujących, nauczyciele stanowili proporcjonalnie zbyt mały odsetek i że perspektywiczna reforma oświaty nie może się obejść bez należycie przygoto-

Dokończenie na str. 6—7

W 20-lecie śmierci

PODRÓŻ DO GAŁCZYŃSKIEGO

Zygmunt Mikulski

NIE PAMIĘTAM, kiedy zetknąłem się z Gałczyńskim po raz pierwszy. Obcowanie z poezją, również tą „swoją", nie może mieć dokładnej metryki, bo nawet miłość od pierwszego wejrzenia jest możliwa na podstawie dyspozycji, które istniały przedtem. Nie będę kłamał. Gałczyński przedwojenny nie był „moim". Może to sprawiał brak czytelniczego doświadczenia u mnie, a może sprawiała ówczesna krzykliwość awangardy. Pozbawiony najłatwiejszej dla oka metafory dopełniaczowej wiersz Gałczyńskiego wydawał się nie dość „gęsty", nie odróżniałem poezji od poezji literackiej. Olśnienie przyjechało dopiero „Zaczarowaną dorożką". Ujrzałem, jak obfite w treść jest to pozorne „rozwodnienie", wolne od cierpliwego zecerstwa aforyzmów, powiedzonek, skrótów, skojarzeń i chwy-

Dokończenie na str. 7

GÓRNIK Z LUBELSKIEJ WSI

Stanisław Zieliński

MICHAŁ Madej był lubelskim chłopem, jest krakowskim górnikiem. Wymowa tych dwóch faktów spinających życiorys jest bardzo publicystyczna. Można łatwo wygrać na niej okolicznościowe nutki i nawet nie byłoby w tym grzechu: rzeczywiście niektóre losy Polaków pasują jak ulał do ilustrowania historycznych tez. Tylko Madej właściwie nie ma w sobie niczego z postaci pierwszoplanowej. Pozostaje w tle. Reporterski flesz dotychczas nie wypunktował jego osoby.

Właściwie trudno nawet powiedzieć, czy był chłopem. Tak — jeśli chodzi o sytuację materialną wyznaczoną głodem, podartym kubrakiem, niemożnością ukończenia szkoły. Nie — jeśli o korzystanie z efektów pracy na roli wykonywanej. Kiedy doczekał się wieku, w którym mógłby się rozglądnąć za poprawą losu wiejskiego sieroty, nadeszła okupacja, dostał się w tryby hitlerowskiej machiny represji.

Urodził się w r. 1920. Jak chce literacka publicystyka, to rocznik „Kolumbów". Madej nie czytał powieści Bratnego, ale związek z opisanym pokoleniem posiada nie przez lekturę, lecz przez wspólnotę życiowego doświadczenia. Walczył, cierpiał, łamał się z poczuciem bezsiły, powstawał.

Oto dane z życiorysu:

Pochodzi ze wsi Podhuszczka z powiatu Zamość. Matki nie pamięta, zmarła, gdy był dzieckiem. Ojciec zmarł w roku 1928. Siedmioletni Michał wraz ze starszą siostrą został przygarnięty przez dalszą rodzinę. Przygarnięty nie bez rachuby na przydatność w gospodarstwie. W wieku lat dwunastu musiał rozstać się ze szkołą, w której ukończył pięć klas, ponieważ został uznany za pełnowartościowego pracownika rolnego. Później był rok 1939.

Tu jednak oddajmy głos samemu Madejowi.

— W Pańskiej Dolinie oddział polskiego wojska, rozbrajając się, zakopał sporo broni. Zacząłem ją ściągać do Podhuszczki. W ten sposób przeniosłem lekki karabin maszynowy, kilka karabinów i sporą ilość amunicji. Znajdowały się tam również jakieś płaskie okrągłe pudła, wydawało mi się, że to miny. Jak się później okazało, były to świece dymne. Wszystko wysmarowałem wazeliną i zakopałem w ziemi.

Kiedy zaczęło się wysiedlanie Zamojszczyzny, kiedy wysiedlono już chłopów z Huszczki Dużej, Huszczki Małej i Podhuszczki, zacząłem się ukrywać, tym bardziej że byłem poszukiwany przez żandarmerię za pobicie folksdojcza. W końcu i ja musiałem się przenieść. Znalazłem dach nad głową we wsi Lipina Nowa. Zamieszkałem tam z przyrodnim bratem (synem macochy) i starszą kobietą jeszcze z Podhuszczki. Nawiązałem kontakt z Bronisławem Smotrysiem ze wsi Lipie, z powiatu Krasnystaw. Był podchorążym 9 pułku piechoty z Zamościa. Przynosił gazetki i wiadomości z nasłuchów radiowych. Jemu przekazałem posiadaną broń. Prócz lkm-u, który uległ zniszczeniu. Nie wystarczająca konserwacja.

Dalej miałem rozkaz ściągać broń. Mój kolega z Podhuszczki, Władysław Kitka, również miał kilka

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

w którym żyjemy

Ciemność w biały dzień

AZTEKOWIE — pisze o stolicy Meksyku, Mexico City, amerykański tygodnik „Newsweek" — wybrali to miejsce dlatego na stolicę swego potężnego imperium, ponieważ otaczało je płytkie jezioro, stanowiące naturalną fosę, jak również dlatego, że przed zimnymi wiatrami i wrogiem miasto broniłyby góry wysokości ok. 3 tys metrów. 450 lat później te same warunki geograficzne sprawiają, że Mexico City może z powodzeniem być uznane za jedno z najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie. Według eksperta z UNESCO skażenie powietrza przekracza tu stokrotnie dopuszczalny poziom. Oddychanie w tym mieście jest równoznaczne z wypaleniem dwóch paczek papierosów dziennie.

A główny kłopot wynika z tego, że miasto jest położone na dnie kotliny, do której wiatry mają dostęp jedynie wąskim „korytarzem" od północy. Lecz właśnie w tym miejscu znajduje się większość lokalnych cementowni, rafinerii ropy naftowej, hut i innych zakładów przemysłowych. Wiatry nawiewają więc do miasta wyziewy przemysłowe, które razem ze spalinami z miliona pojazdów zatruwają skutecznie powietrze w mieście. Codziennie zawartość szkodliwych substancji wzrasta o cztery tysiące ton Proces samooczyszczania hamują góry i warstwy zimnego powietrza, zalegające na zatrutą atmosferę. Leżąc na wysokości 2 200 metrów nad poziomem morza, obszar ten absorbuje dużą ilość promieniowania ultrafioletowego, które wchodzi w reakcje fotochemiczne z substancjami zanieczyszczającymi powietrze.

Jak wynika z pomiarów, zawartość tlenku węgla jest w stolicy Meksyku dwa razy większa niż w centrum Manhattanu, zaś żrącego dwutlenku siarki większa niż w Londynie.

Sytuację komplikuje eksplozja demograficzna. Ze wskaźnikiem przyrostu naturalnego równym 5,7 prom rocznie Mexico City należy do najszybciej rozwijających się pod tym względem ośrodków urbanistycznych Miasto otaczają rojowiska slumsów. W pomieszczeniach z gliny, tektury, blachy falistej egzystuje ponad 700 tysięcy ludzi. Ponieważ w ogóle nie usuwa się odpadków, ludzie używają je jako tani opał, bądź palą w stertach w najbliższym sąsiedztwie swego miejsca zamieszkania. W ten sposób jeszcze bardziej zanieczyszczają powietrze, którym oddychają.

Samochody i co dalej ?

SAMOCHÓD ma usprawniać poruszanie się. Ale — zapytuje Philippe Marchat w miesięczniku „Defense Nationale" — co zrobiłby dzisiaj Juliusz Cezar, który w 46 roku przed naszą erą wydał zarządzenie zakazujące ruchu wszelkich „pojazdów" w ciągu dnia w centrum „wiecznego miasta"? Jakie zarządzenie musiałby wydać w Londynie, Tokio czy w Nowym Jorku? Wystarczy powołać się na to, że w Nowym

Samochodowa rzeka.

Jorku około 650 tysięcy pojazdów penetruje codziennie handlowe centrum, którego powierzchnia wynosi zaledwie 23 kilometry kwadratowe Samochody poruszają się w tym rejonie ze średnią szybkością 13 km na godzinę

Autor artykułu widzi jedyne rozwiązanie problemu w rozwoju transportu komunalnego. Ale już w tej chwili metro paryskie w godzinie największego nasilenia ruchu zabiera około 250 tysięcy pasażerów, którzy odbywają podróż w niesłychanej ciasnocie: sześć osób na metr kwadratowy.

Metra też się starzeją, trzeba je stale unowocześniać. Obecnie najszybszą kolej podziemną na świecie ma San Francisco. Pociągi rozwijają tu szybkość 130 km na godzinę.

Rewolucja w dziedzinie transportu miejskiego wymaga posłużenia się najbardziej zaawansowaną technologią.

Kamena str. 2

Ta dziewczyna nosi bluzkę z podobiznami księżniczki Anny i jej małżonka. Na wszystkim mogą producenci zarobić...

Bezdomne dzieci

BRUCE Van Voorst porusza na łamach tygodnika „Newsweek" tragiczny problem dzieci w Ameryce Łacińskiej.

Eusebic Gonzales ma 12 lat. W dzień włóczy się po ulicach Bogoty, biega po pocztki, kradnie wycieraczki i okrada przechodniów, chwytając się każdego zajęcia, które mu daje kilka pesos. Jest obszarpany i brudny, do perfekcji opanował rynsztokowe słownictwo. Przechodnie śmieją się zeń szyderczo a policja Kolumbii organizuje na takich jak on, formalne polowania. W nocy łóżkiem Euzebia jest pusta brama, a prześcieradłem — stara gazeta Nikt się o niego nie troszczy, nawet własna matka.

Jego historia jest zupełnie typowa. W wielkich miastach Ameryki Łacińskiej są miliony takich dzieci jak Eusebio, dzieci, porzuconych przez rodziny, które nie mogą lub nie chcą się troszczyć o swe potomstwo. Po jednej tylko stolicy Argentyny, Buenos Aires, błąka się ponad 150 tysięcy porzuconych dzieci.

Gdy przegląda się ostatnie numery czasopism, ukazujących się w Ameryce Łacińskiej, rzuca się w oczy niezliczona liczba relacji o dzieciach bitych, torturowanych, mordowanych. Niedawno 7-letni Kolumbijczyk został wykastrowany przez kochanka jego matki. Dziewczynce z Caracas własny ojciec obciął język Ci malcy często wolą zimno, głód i lęk, związane z życiem ulicznika, od wegetacji we własnym „domu"

Żeby się „zabawić", dzieci ulicy wąchają benzynę i palą marihuanę, jeżdżą w kółko na zderzakach samochodów i autobusów, dokonują karkołomnych sztuczek, wspinając się na wąskie łuki nad ruchliwymi autostradami.

Większość dzieci ulicy stanowią chłopcy. Dziewczęta których rodzice nie chcą mieć dłużej w domu, sprzedawane są faktycznie jak niewolnice. Zwykle stają się one służącymi. Pracują całymi dniami bez zapłaty, tylko za kęs jedzenia i coś z używanego ubrania. By uchronić się przed ciężką pracą, wiele dziewcząt — nawet 12- i 13-latki — wybiera życie prostytutki.

Czy może być inaczej? Voorst relacjonuje sytuacje, ale nie przedstawia wniosków. I nie dostrzega Kuby, gdzie tego rodzaju problem przestał być aktualny.

Uwaga, złodziej!

KRADZIEŻE w sklepach należą do najpopularniejszych przestępstw. Mimo licznych urządzeń zabezpieczających ciągle jeszcze wykrywalność przestępstw jest niska. Kto kradnie, kiedy i dlaczego? Pisze o tym Franz Wauschkuhn w zachodnioniemieckim dzienniku „Die Welt".

...Klient zbliża się do kosmetyków i już ostrzegawczy ton, niesłyszalny dla niego samego — brzmi w biurze kierownika wydziału. Pod miękką wykładziną podłogową znajduje się urządzenie, wydające dźwięk, gdy na nie nadepnąć.

W wielkich domach towarowych nikt nie zbliży się bezkarnie do stoiska z zegarkami: fale ultradźwiękowe rejestrują każdy ruch w promieniu 30 metrów kwadratowych.

Ustawionych w długich szeregach aparatów telewizyjnych, radiowych, adapterów i magnetofonów strzegą urządzenia podobne do laserów, reagujące na każde przerwanie widoczności.

W dziale futer na wieszakach umieszczone są małe aparaty elektroniczne, dające optyczne czy też foniczne znaki, gdy klient mierzy futro. Nad całym domem góruje wielkie oko kamery telewizyjnej, rejestrującej to, co się dzieje na dole.

Wielkie oko widzi wszystko, ale mimo to nie istnieje dom towarowy, który byłby w pełni zabezpieczony od kradzieży. Ludzie, do których docierają sygnały ostrzegawcze, często ich nie widzą lub nie słyszą zajęci czytaniem romansu, jedzeniem kanapki czy pogawędką z windziarzem. W rezultacie tylko co dziesiąta kradzież sklepowa zostaje wykryta.

W NRF w bieżącym roku — od stycznia do września — z półek sklepowych ukradziono towarów na sumę 496 mln marek. Najczęściej kradnie się zabawki, bieliznę damską, płaszcze, spodnie i koszule. Kobiety lubują się w kradzieży artykułów żywnościowych.

Spektakle „porno"

FALA spektakli „porno" zalała liczne paryskie teatrzyki. Po obu stronach Sekwany — pisze „Espress" — rozłożyło się co najmniej 20 teatrzyków, wszystkie pod znakiem zdeklarowanej zmysłowości. Weźmy np. spektakl grany w „Love Theatre". Treść jest tutaj tylko pretekstem, opartym na swobodnej interpretacji baśni „Piękna i bestia". Aktorów jest czterech, łącznie z „bestią". Akcja, niezupełnie zgodna z oryginałem, liczy się jedynie w chwilach, gdy aktorzy naśladują akty spółkowania. Trwa to co najmniej 40 minut aż wreszcie akcja kończy się wraz z wyczerpaniem się różnych możliwości kombinacyjnych, które mimo wszystko nie są nieskończone.

Inny przykład: w „Theatre Erotique" wystawiany jest spektakl p.t. „Zbiorowa histeria", który taką ma reklamę — „sadystyczne, perwersyjne i seksualne przesłuchanie pary szpiegów, w toku którego dochodzi do niespotykanych nigdy sytuacji". Reklama, jeśli potraktować ją dosłownie, mówi prawdę...

A oto tytuły sztuk wystawianych w teatrze „Świętych Niewinnych": „Msza falliczna" i „Requiem dla zwiędłego członka". W przygotowaniu: „Jurność wojownika" i „Sprośność sędziego Dieudonne".

Dyrektor „Theatre Erotique" na pytanie dziennikarza, co przysporzyło mu największych trudności w czasie wystawiania spektakli, oświadczył: „Policja. Największe kary nakłada na nas policja obyczajowa, która nie pozwala nam wykraczać poza pewne granice". Owe „pewne granice" mają postać listka figowego, który obowiązani są nosić aktorzy męscy, a który powoduje jedynie wybuchy śmiechu, jako że po kilku minutach spektaklu jego obecność nic już nie pomaga. „Wolno nam — twierdzi dyrektor — uprawiać seks jedynie w połowie. W Paryżu nie ma dostatecznej wolności wyrazu artystycznego".

Komentarze zbyteczne. Chrońcie nas od takiej „wolności"!

To nie jest zdjęcie ze spektaklu teatralnego, ale z filmu porno.

Kanał Wieprz—Krzna jest jedną z największych inwestycji melioracyjnych w Polsce. Co daje on chłopom, a co państwu? Czy spełnia swoją funkcję ekonomiczno-społeczną, czy ta wielka inwestycja, realizowana od 1954 roku i do dziś nie zakończona, okazała się opłacalna? Jakie postulaty pod adresem nowych władz terenowych wysuwają użytkownicy oraz ci, którzy kierują sprawami kanału? Na te tematy przeprowadziliśmy dwie dyskusje: jedną z rolnikami we wsi Komarówka w pow. radzyńskim, drugą z przedstawicielami władz wojewódzkich i naukowców, którzy także zajmują się sprawą kanału. Poniżej zamieszczamy relacje z obu tych dyskusji.

Fragment kanału

Fot. CAF

RZUĆ W BŁOTO BĘDZIE ZŁOTO

Przedstawiam uczestników dyskusji w gminie Komarówka:

25-letni Zygmunt Furman z Wizek, 12,9 ha ziemi ornej, łąk i pastwisk (trzeciej i czwartej klasy), kandydat na radnego PRN i GRN; 31-letni Mieczysław Olszewski z Brzozowego Kąta, 18,5 ha (czwartej klasy); 37-letni Stanisław Wapa z Walinny 11,6 ha (piątej i szóstej klasy), kandydat na radnego GRN; Stanisław Faluszewski, naczelnik gminy.

Z ponad dwugodzinnej rozmowy staram się wyłuskać najistotniejsze spostrzeżenia.

GŁOS KOMARÓWKI

Furman: — Ogólnie mówiąc, jesteśmy zadowoleni z kanału, ale dostrzegamy też wiele usterek. Na przykład u nas w odległości 200 m od kanału są łąki, które prawie wcale nie są nawadniane. Dlaczego? Brak syfoniku pod rzeką Żarnicą. Niby drobiazg, ale o trzecim, a czasami nawet o drugim pokosie nie ma co marzyć. Jak się powiedziało „a", to trzeba powiedzieć i „b".

Niemniej kanał pozwolił rozwinąć hodowlę. Oczywiście, nie wszyscy rolnicy doceniają jego znaczenie. Bo chłopi są różni. Niektórzy tyrają od świtu do zmierzchu, a niektórzy całymi dniami piją gorzałę. I tu nie pomogą żadne nakazy. Trzeba niekiedy sięgać do bardziej radykalnych metod.

Nie chciałbym się chwalić, ale hodowla jest moim konikiem. Mam teraz jedenaście sztuk bydła i dwadzieścia cztery świnie, a to jeszcze nie ostatnie słowo. Chcę bardziej nastawić się na hodowlę bukatów, która stała się teraz opłacalna. Jak sobie radzę? Sieję dużo marchwi, buraków pastewnych, to cenny pokarm. Gospodarzę wspólnie z rodzicami, rodzeństwo rozeszło się po świecie. Zbudowaliśmy już dwie obory, garaż, teraz myślimy o stodole.

Wapa: — Nasza wieś podzielona jest na dwie kolonie, środkiem przebiega kanał, a obok niego rzeka Żarnica. Przedtem nasze łąki były zaniedbane, żółte, teraz, po wybudowaniu kanału, zostały zmeliorowane, wszystko to ładnie wygląda, ale jeszcze nie tak ładnie jak by się chciało. Są na przykład takie rowy, do których — a wiele już lat minęło od ich wykopania — jeszcze woda nie doszła. Były one albo za wysoko położone, albo źle zniwelowane. Część łąk zależna jest od deszczu. Wysiewam sporo nawozów, ale jeśli nie ma odpowiedniej wilgoci plony są małe.

Dziwi mnie też, że rowy opaskowe i drogi dojazdowe przy kanale nie zostały mi wyłączone z podatku. Płacę jak za użytki. Niewiele tego, ale boli.

Cokolwiek by się jednak mówiło faktem jest, że dzięki kanałowi udało się nam rozwinąć hodowlę. Nawet świń można trzymać więcej, chociaż one w zasadzie siana nie jedzą. Ale ja czasem lepsze siano rżnę i podaję świniom zamiast plew.

Podobnie jak Zygmunt Furman, gospodaruję wspólnie z rodzicami. W domu było nas sześcioro, zostałem tylko jeden. Nie narzekam. Ja teraz tutaj siedzę, a w domu ojciec wnuki bawi. Grunt to zgoda w rodzinie.

Trzymamy dwadzieścia siedem świniaków i siedem krów, ale już pięć w tym roku sprzedałem.

Jakie są trudności? Na pewno z mechanizacją. Do tej pory nasz przemysł nie potrafił skonstruować siewnika. Nie wymaga się cudów, ale chodzi o taki siewnik, który mógłby dobrze rozsiewać nawozy. Co więc robimy? Rozsiewamy garściami. Ojciec siada na przód, prowadzi konie, ja na wóz — żelaźniak, z tyłu się stawia wanienkę, nawozy się wymiesza i wychodzi najrówniej. Rozrzutnik nie zdaje egzaminu, każdy nawóz ma inny ciężar właściwy, sól leci inaczej, a superfosfat granulowany inaczej, bo sól jest po prostu lżejsza. Potem tworzą się pasy: od żółtego do ciemnozielonego.

Olszewski: — O dobrych stronach kanału już tu mówiono. Zgadzam się z Furmanem i Wapą, mam jednak też swoje „ale". Chodzi mi o tych, którzy czuwają nad kanałem. Zdarza się, że puszczają wodę bez żadnego zawiadomienia rolników. Raz miałem grabić siano i od razu wozić. Przyjechałem na łąkę, patrzę, że połowa zalana. A siano już było suche! Puścili wodę z kanału, był duży muł, który pozatykał syfony, woda się spiętrzyła i wylała. Trochę wody udało mi się zatrzymać, ale potem miałem nieprzyjemności. Nie można tak bezmyślnie postępować, bo z tego duże szkody. A są przecież zebrania, tych spraw się jednak na nich nie porusza.

Gospodarzę dopiero siódmy rok. Ale mam już jakieś 600 tysięcy złotych w trwałym majątku. Trzymam dwanaście sztuk bydła, będę trzymać czternaście, chociaż mogę nawet dwadzieścia. Najpierw jednak muszę postawić stodołę. To sporo roboty, brak czasu, by chodzić koło hodowli. Bydło stale stoi w oborze, mam założone poidła. Od najbliższej łąki dzieli mnie dwa i pół kilometra. Ale nie chodzi tylko o odległość. Łąki są nawadniane i bydło je niszczy w czasie wypasu.

Wapa: — Może teraz trochę pomówimy o samej radzie. Przede wszystkim mamy doskonałe warunki lokalowe, nowy, przestronny budynek. Rzecz jednak nie w budynku. Gdy nastał naczelnik, czujemy, że jest jakaś władza. Inna sprawa, że nasz naczelnik jest zbyt wymagający, a my, Polacy, niezwyczajni jesteśmy do wielkiej dyscypliny. Teraz, gdy się przyj-

Dokończenie na str. 4

Mgr inż. Walerian Czurak, dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Gospodarki Wodnej i Melioracji: — Na temat kanału i związanego z nim rejonu jest wiele nieporozumień. To przecież część Polesia, której bez przeprowadzonych tam inwestycji nie można by prawie wcale wykorzystywać. Sam kanał długości 140 km, drugie 140 km doprowadzalników, 72 mosty i 7 jazów — wszystko to kosztowało 308 mln zł. Gdyby nie kanał, w ogóle nie byłoby możliwe przystąpienie do melioracji użytków zielonych, które już kończymy. W tej chwili nawadnia się 36 tys. ha, są możliwości objęcia 45 tys. ha. Ale wskutek obniżenia się poziomu wody w ziemi — co występuje zresztą w całej Europie — chyba już nigdy nie dojdziemy do nawadniania

GŁOS LUBLINA

80 tys. ha, jak to pierwotnie planowano.

Muszę przytoczyć kilka liczb, które pokazują efektywność tej inwestycji. W latach 1960—1972 plony czterech zbóż w województwie wzrosły o 62,6 proc. — w rejonie kanału o 53,9 proc., plony ziemniaków w województwie o 34,9 proc. — w rejonie o 51,7 proc., siano łąkowe w województwie o 70 proc. — w rejonie o 132,2 proc. Wskaźnik bydła na ha zwiększył się w województwie o 135,8 proc. — w rejonie o 148,9 proc., trzody chlewnej niemal jednakowo. W wielkościach bezwzględnych dystans pomiędzy rejonem kanału i resztą województwa, zwłaszcza w hodowli bydła, wyraźnie się zmniejsza.

Ale może najważniejszy jest wzrost dochodowości z hektara. W roku 1965 w województwie wyniosła ona około 4 tys. zł — w rejonie 1 500 zł, a w roku 1972 w województwie 7,8 tys. zł — w rejonie 6,4 tys. To jest wyraźny skok, uzyskany przede wszystkim dzięki zwiększeniu produkcji mleka i żywca, a więc efektom, jakie dała melioracja. A także zmianie cen skupu, bo dawniej bywało, że chłop sprzedając GS-owi siano, równocześnie prowadził na postronku krowę, bo jej hodowla mu się nie opłacała. Pamiętajmy przy tym, że mleczarnie wybudowano w rejonie z pięcioletnim opóźnieniem, a jeszcze okazuje się, że to, co uważaliśmy za rezerwę produkcyjną na przyszłe lata, już dziś ledwo wystarcza.

Dr Jan Zalewa, adiunkt w Zakładzie Ekonomiki Rolnictwa Wydziału Ekonomicznego UMCS: — Cała ta inwestycja ekonomicznie była uzasadniona i jest efektywna. Niestety jednak środki na zagospodarowanie rejonu przyszły zbyt późno w stosunku do samej inwestycji technicznej kanału. Także proporcje nakładów na inwestycje towarzyszące były niekorzystne, co odbiło się i jeszcze odbija się ujemnie na infrastrukturze produkcyjnej.

Mimo wielu już zmian w polityce rolnej tu wciąż powiela się model gospodarstwa uniwersalnego, specjalizacja dopiero się zarysowuje. Działają już mechanizmy ekonomiczne sprzyjające specjalizacji, są prace naukowe i wzory modelowego gospodarowania hodowlanego, ale wprowadzenie takiej gospodarki na szerszą skalę wymaga i czasu i uruchomienia dalszych mechanizmów ekonomicznych. W rejonie kanału są inne zaszłości, inne warunki, inne możliwości i dlatego polityka rolna musi być tam inna niż gdzie indziej. A przez długie lata była identyczna i powstała taka sytuacja, że znaczna część gospodarstw rolnych posiada warunki do produkcji hodowlanej, ma nawet siłę roboczą, ale brak dostatecznej powierzchni ziemi. Z drugiej strony w innych gospodarstwach występuje bardzo ostry brak siły roboczej i maszyn, zwłaszcza do sprzętu siana. Niewłaściwa polityka gruntowa i zbyt sformalizowany obrót ziemią hamowały rozwój. Konsekwencji dziś, mimo innych warunków, nie da się szybko zmienić.

Udział rolników indywidualnych w bezpośrednich kosztach inwestycji wyniósł 56 proc. W związku z tym udzielono im wielu kredytów. Ale obszar był przecież ekonomicznie zacofany i w rezultacie chłopi mieli niewiele pieniędzy na cele produkcyjne.

Prawdą jest, że w rejonie kanału występuje częściowa degradacja torfowych łąk i gruntów ornych. Osuszanie prowadzi do ich bezogniowego spalania się. Jest to wynikiem faktu, o którym mówił dyr. Czurak, że kanał nie może doprowadzić takiej ilości wody, jaką planowano i jaka jest potrzebna. W sumie zaś — sprawy związane z kanałem i jego rejonem trzeba załatwiać kompleksowo, a nie dorywczo lub wycinkowo.

Nasze wnioski: doprowadzić możliwie najwięcej wody, położyć akcent na meliorację gruntów ornych, a w mniejszym stopniu użytków zielonych, ze względów demograficznych ułatwić maksymalnie obrót ziemią, uruchomić wszystkie bodźce sprzyjające specjalizacji produkcji rolnej, uprzywilejować w dostawach maszyn rolniczych i materiałów budowlanych, uruchomić więcej suszarni zielonek i użytkować je na miejscu.

Mgr Bronisław Furmaga, prezes Woj. Związku Kółek Rolniczych: — W programie zagospodarowania rejonu były tylko pewne elementy działania usługowych jednostek gospodarki uspołecznionej. Dlatego też dziś trzeba znacznie zwiększyć przede wszystkim usługi maszynowe i to także w sposób kompleksowy. Ale ponieważ nie każdy rolnik godzi się na to, trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie prawne, aby np. wapnowanie gleby przeprowadzać jednolicie na całym obszarze, a nie inaczej — lub wcale nie — na małych działkach szachownicy. To samo dotyczy używania nawozów sztucznych itp. Dopiero wtedy będzie można mówić o właściwym efekcie.

Wydaje mi się też, że nie stworzono jeszcze dostatecznie silnych bodźców ekonomicznych, ułatwiających komasowanie gospodarstw już poddpadłych lub jeszcze prowadzonych przez ludzi starszych. Nie roz-

Dokończenie na str. 4

Na Tatarach

Jerzy Dostatni

TYLKO ludzie z wyjątkowym pechem dostają mieszkania na Tatarach — twierdzą mieszkańcy tej dzielnicy Lublina. I na poparcie tej opinii przytaczają długą litanię żalów, skierowanych głównie pod adresem położonej tuż obok Fabryki Samochodów Ciężarowych. Że zadymia, że zatruwa, że niszczy zieleń, że nie współuczestniczy w życiu osiedla, które właśnie dla niej powstało.

Według pierwotnych planów Tatary rzeczywiście miały być, obok Bronowic, dzielnicą mieszkalną stałej załogi FSC. No i początkowo były. Ale w miarę upływu czasu wielu ludzi zmieniło miejsca pracy i dziś z fabryką łączą ich tylko nikłe wspomnienia. Inni zaraz na początku zapisali się do spółdzielni, Motoru lub LSM, dzięki czemu przenieśli się do innych dzielnic Lublina, nawet na jego przeciwległy kraniec. I chociaż sprawują dzisiaj w FSC bardzo odpowiedzialne funkcje, to zbyt są zajęci sprawami wciąż wzrastającej produkcji, aby na uboczne skutki jej działalności spojrzeć oczyma ludzi, którzy na co dzień muszą być sąsiadami fabryki.

Prawda zaś jest taka, iż FSC rzeczywiście zatruwa powietrze pyłami i związkami chemicznymi w ilościach dość znacznie przekraczających dopuszczalne normy. Głównym „producentem" jest kotłownia. W czasie, gdy ją budowano, sprawy ochrony środowiska obchodziły tylko bardzo wąską grupę specjalistów, stąd też nie wyposażono kotłowni w wystarczająco skuteczną aparaturę oczyszczającą. Zresztą produkcja tej aparatury była dopiero w powijakach i to nie tylko w naszym kraju. Równocześnie rozrastała się także uciążliwa dla otoczenia odlewnia.

Mniej więcej w tym samym czasie zapadła decyzja o budowie ostatniej części osiedla Tatary. Aby było taniej i szybciej, na wąskim skrawku terenu pomiędzy FSC a osiedlem powstała baza prefabrykatów budowlanych. Dzięki niej bloki mieszkalne powstawały szybciej i kosztowały mniej. Ale szybko okazało się, że baza produkuje nie tylko prefabrykaty, ale i potężne ilości dymu ze spalanego miału węglowego, zwłaszcza że jej komin nie miał żadnych urządzeń ochronnych. Okazało się też, że jedenaście pierwszych bloków mieszkalnych powstawało w okresie stosowania najbardziej oszczędnych projektów i bywało, iż ludzie zrzekali się przydziałów mieszkań w takich blokach.

Do pogorszenia sytuacji mieszkańców Tatar przyczyniły się także inne lokalizacje. Tuż obok znajduje się baza PKS, która każdego dnia wysyła i przyjmuje kilkaset autobusów. Co to oznacza dla czystości powietrza, nie potrzeba chyba wyjaśniać. Z drugiej strony, teoretycznie w dość znacznej odległości, zbudowano Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie i rozbudowano dawną rzeźnię. Wystarczy jednak najmniejszy podmuch wiatru z tamtej strony, aby przekonać się, że w obu tych zakładach nie produkuje się olejków aromatycznych...

— Kto nie wierzy naszym narzekaniom — mówi członek prezydium Komitetu Osiedlowego, Stanisław Kruk — niech się przejdzie po osiedlu. Zanieczyszczenie powietrza jest tu pokaźne, co widać na każdym kroku.

Jeżeli jest tak, jak jest, czyli źle — gdzie szukać przyczyny? Kogo obciążyć winą lub chociażby współodpowiedzialnością? Pytanie proste — odpowiedź chyba też, tyle że dziś, być może, nie każdemu trafi do przekonania.

Przed piętnastu laty, a nawet przed dziesięciu laty nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, jak olbrzymimi krokami będzie rozwijał się nasz przemysł, jak bardzo rozrośnie się FSC. Dziś każdy jest mądry — ale wtedy? Po drugie — normy urbanistyczne, obowiązujące zresztą do dzisiaj, były i są jednakowe dla wszystkich osiedli. Taką samą ilość zieleni, takie same zagęszczenie, takie same wyposażenie w inwestycje towarzyszące musi posiadać dzielnica mieszkaniowa, budowana na skraju lasu i dzielnica budowana w sąsiedztwie fabryk lub dopiero projektowanych fabryk.

Jedynym wyjściem jest możliwie szybkie i radykalne usunięcie przyczyn zła, tak szybkie i radykalne, jak na to pozwala współczesna technika. Tak się jakoś składa, że wiatry nie chcą być posłuszne ani życzeniom mieszkańców ani dyspozycjom FSC i najczęściej wieją właśnie od fabryki w stronę osiedla. Tego zmienić się nie da. Ale FSC przygotowuje już budowę 125-metrowego komina dla kotłowni, zaopatrzonego w urządzenia, pochłaniające przynajmniej dziewięćdziesiąt procent wszystkich zanieczyszczeń. W odlewni systematycznie wymienia się stare urządzenia na nowe, dzięki czemu i jej uciążliwość będzie się stale zmniejszała. Rzecz tylko w tym, aby już prowadzone roboty przyspieszyć, a projektowane zacząć realizować. Dotychczas bowiem FSC nie bardzo wywiązywała się z dawanych w tych sprawach zapewnień.

Ale jest i drugi kompleks spraw, których załatwienia oczekują mieszkańcy Tatar od nowych władz. To sprawy kultury i wychowania fizycznego.

Jest to bowiem dzielnica, jedyna w Lublinie, która nie posiada nawet jednego metra kwadratowego, służącego działalności kulturalnej. Nie ma tu żadnego klubu, żadnej świetlicy, nie ma możliwości zaproszenia jakiegoś zespołu, a chociażby pojedyńczego prelegenta. Są wprawdzie dwie nowe szkoły, ale są one zajęte całkowicie przez dwie zmiany uczniów i jeżeli coś już trzeba koniecznie w nich urządzić, to kosztem programu szkolnego.

Co więc robi młodzież, która już do tych szkół nie chodzi, a jeszcze zawodowo nie pracuje? Zbiera się pod kioskami z piwem, gdzie naturalną koleją rzeczy przechodzi pierwszy etap szkolenia przedchuligańskiego. Albo gromadzi się na klatkach schodowych, gdzie od zwykłych figli droga niedaleka najpierw do rysowania ścian, potem do wybijania szyb, a wreszcie zaczepiania ludzi, bywa że i napadów na samotnych przechodniów.

Sytuację pogarsza fakt, że nie ma także metra kwadratowego ogólnie dostępnego terenu sportowego. Boiska szkolne, tak samo jak klasy, są zajęte od rana do późnego wieczora, stadion Motoru służy innym celom. Grają więc na trawnikach, niszcząc trawę, kwiaty i krzewy, łamiąc drzewa i wybijając szyby.

O budowie prawdziwego domu kultury na Tatarach mówi się od dawna. Ostatnio projekt przybiera coraz bardziej realne kształty, bo FSC chce wyłożyć na ten cel nie tylko wcale pokaźną sumę, ale i limit budowlany. Rzecz jednak w lokalizacji. Fabryka, chociaż liczy także na pomoc miasta, chce go zbudować przede wszystkim dla własnych potrzeb i tuż koło siebie, ale dość daleko od osiedla. Mieszkańcy więc powiadają, że pociecha z tego domu kultury dla nich będzie prawie żadna, że na co dzień tak daleko chodzić nie będą. I tu znowu apel do nowych władz miejskich: rozpatrzcie projekt z każdej strony, bo istnieje niebezpieczeństwo, że stare porzekadło o racji tego, kto ma pieniądze, raz

Dokończenie na str. 15

GŁOS LUBLINA

Dokończenie ze str. 3

wiązaliśmy także sprawy typizacji budynków gospodarczych, odpowiadających tamtejszym warunkom. Stąd też możliwość pełnego wykorzystania rezerw tkwiących w gospodarce chłopskiej rozkłada się na zbyt długi okres. Trzeba podjąć takie działania prawne, ekonomiczne czy organizacyjne, aby ten okres możliwie najbardziej skrócić. Jako dowód działania przytoczę fakt, że przygotowujemy statut ośrodka rolnego kółka rolniczego, który to ośrodek w zamian za odpowiednią rentę będzie mógł przejmować ziemię dla gospodarki zespołowej, a nawet ją wydzierżawiać na określony czas lub na tzw. dożywocie. Rozważamy również sprawy takie, aby od 1975 roku gospodarstwa kółkowe organizowały stanowiska dla 3—4 tys. sztuk bydła i 13—15 tys. sztuk trzody chlewnej. Sumując: udział kółek rolniczych widzimy w poszerzaniu kompleksowych usług oraz bezpośrednim zagospodarowywaniu.

Inż. Zbigniew Kowalewski zastępca dyrektora Woj. Zarządu Gospodarki Wodnej i Melioracji: — Przypomina mi się opowiadanie Kraszewskiego pt. „Śmierć i żona od Boga przeznaczona". Ciotka kobiety spod Rudki Kijańskiej pożyczyła dukaty mężowi siostrzenicy mówiąc: rzuć w błoto — będzie złoto. W rejonie kanału wrzuciliśmy dosłownie w błoto wiele pieniędzy. Złota wprawdzie nie wydobywamy tam, ale przy programowaniu całego przedsięwzięcia zakładaliśmy osiągnięcie zbiorów siana w wysokości 50—55 q/ha. To już dawno i wysoko przekroczyliśmy. W związku z brakiem wody staje się trudne pytanie: nawadniać mniej, ale całkowicie czy więcej lecz słabiej?

Nie może być mowy o łące jednokośnej, jeżeli chcemy uzyskać 80 q siana z hektara. Ale okres wegetatywny trwa tam około 200 dni i w tym okresie trzeba się zmieścić z nawadnianiem i odwadnianiem, wysianiem nawozów i całą agrotechniką, a także trzema zbiorami. W takiej sytuacji najkorzystniejszym wyjściem jest wypasanie traw na łąkach, które tą drogą najszybciej zamienią się w mięso. Oczywiste, że całości łąk nie da się w ten sposób wykorzystać, ale i naukowcy całej Europy nie wiedzą, gdzie powinien przebiegać podział na łąki kośne i pastwiska. Jedni mówią o przeznaczeniu na pastwiska połowy obszaru inni o 70 procentach, a tymczasem przy dużych bukaciarniach może dojść nawet do przeznaczenia na pastwisko całego obszaru.

Na ogół na rejon kanału patrzy się jako na teren związany z melioracjami wodnymi. A powinniśmy widzieć przede wszystkim melioracje rolne. Ich definicja? Jest to całokształt środków technicznych, ekonomicznych, organizacyjnych i agrotechnicznych, których celem jest utworzenie trwałej podstawy do stałego wzrostu produkcji rolnej. Melioracje wodne robimy już od 1954 roku, ale inne czynniki zaczęły działać dopiero w ostatnich latach.

Mgr Roman Olszyński — wiceprezes WZGS: — Chłonność towarowa rejonu, związanego z kanałem, wyraźnie wzrosła i możemy tu przytoczyć długie kolumny liczb potwierdzających to. Moim zdaniem, cały problem sprowadza się do tego, że jeszcze nie wszystkie inwestycje towarzyszące zostały zrealizowane. Np. w powiecie radzyńskim i nie tylko tam, trudno jest znaleźć ładną, dobrą, oborę z najprostszą chociażby mechanizacją pracy. Wciąż nie potrafiliśmy zainteresować rolników zespołami hodowlanymi. W pow. chełmskim są tylko dwa zespoły hodowli bydła — razem 73 sztuki, w pow. parczewskim zaledwie jedna obora udojowa i 200 sztuk bydła, w pow. radzyńskim dwa zespoły hodowli bydła — razem 120 sztuk. Głównym powodem jest stosunkowo wysoki koszt inwestycji, związanej z takim zespołem, na który to koszt tamtejszej wsi nie stać. Chyba warto dla tego rejonu stworzyć preferencyjnie dogodne warunki kredytu.

Faworyzujemy rejon w przydziałach materiałów budowlanych, jest dosyć eternitu czy nawet wyrobów hutniczych, ale wciąż brak materiałów ściennych. Gdyby istniała gwarancja, że skierowane tam materiały byłyby szybko zużyte, a inwestycja oddana do użytku, moglibyśmy dać więcej, ale w obecnej sytuacji przeciągania inwestycji inne powiaty gwałtownie protestują i musimy się z tym liczyć.

Niestety, siano tamtejsze jest niskiej jakości, często nie możemy go kupić i w konsekwencji nie możemy go kontraktować. Trzeba walczyć o jakość siana. Jest też zbyt mało sprzętu nowoczesnego do jego zbioru i przerobu.

Mgr Jan Rudko, zastępca kierownika Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu Prezydium WRN: — Dotychczas brak odpowiedniej dokumentacji rzeczywiście hamował wiele inwestycji na wsi. Sfinansowaliśmy więc wykonanie w jednym z biur projektów w Krakowie 25 projektów budowlanych dla różnych potrzeb. Jest duże zainteresowanie tą dokumentacją, powstają pierwsze realizacje, ale jeżeli chodzi o hodowlę bydła to zanotowaliśmy dotychczas tylko jeden wypadek skorzystania z niej. W PGR Zienki w pow. parczewskim chcieliśmy uruchomić hodowlę 3 tys. bukatów, ale okazało się, że gospodarstwo nie było na to przygotowane. Ponad 90 proc. gospodarstw w tym rejonie ma światło elektryczne, ale powszechnie brak siły.

Mówiono słusznie, że rejon nie był przygotowany ekonomicznie do przyjęcia takiej inwestycji. Ale także nie był i w części do dziś nie jest jeszcze przygotowany w świadomości rolników. Przekształcenie tej świadomości to trudne, ale pilne zadanie przede wszystkim dla służby rolnej. Ale nie tylko dla niej.

Notował JOD

GŁOS KOMARÓWKI

Dokończenie ze str. 3

dzie do gminy, człowieka lepiej załatwią, a zawsze można się naczelnikowi poskarżyć. Nie znaczy to jednak, by jeszcze tego czy tamtego nie można było usprawnić. Za dużo się u nas mówi, niekiedy o jednej sprawie wielokrotnie, a przecież należałoby ją załatwić od ręki. Musi być też lepsza kontrola wykonywania podjętych uchwał. Nie wystarczy je opracować, trzeba baczyć, jak się je realizuje w praktyce. A w ogóle to za dużo grzebiemy się w papierkach, ciągle trzeba wypełniać jakieś kwestionariusze. Z ludźmi łatwiej można załatwić sprawę po dobroci niż krzykiem. Weźmy na przykład służbę rolną. Jeśli pracownicy służby rolnej przychodzą do chłopa, to tylko po to, aby uzyskać jakiś podpis, który stanowi dowód ich obecności.

Dużą wagę przywiązuję do sesji gminnej rady narodowej. Radni przedstawiają wnioski, oni najlepiej znają swój teren. Chciałbym, aby te wnioski nie pozostawały bez echa. Trzeba na nie udzielać odpowiedzi. Negatywnej, albo pozytywnej. Wiele wniosków może być nierealnych, przecież nie każdy radny wie, co jest możliwe, a co nie do wykonania. Gdy wnioski zbywa się milczeniem, rodzi się obojętność. A to jest najgorsze. I trzeba — mam tu na myśli naszą władzę gminną — zawsze zachować sprawiedliwość. Jeden chłop nie ma daru wymowy, nie umie się wypowiedzieć, a żyje mu się ciężko, nikt mu nie pomoże. Drugi zaś potrafi wszystko załatwić krzykiem: prosiak mu padnie, a on tak wrzeszczy, jakby mu się pół gospodarstwa spaliło. I dostaje umorzenie.

Faluszewski: — Padło wiele słusznych uwag, ale i ja mam krytyczne uwagi wobec radnych. Nie wszyscy spośród nich zdają sobie sprawę z ważności swej funkcji. Tu chciałem zwrócić uwagę na rolę komisji radzieckich. Właśnie w toku obrad komisji jest okazja do poruszenia szeregu problemów. Nie zgadzam się z twierdzeniem, że wnioski pozostają bez odpowiedzi. Odpowiedzi były udzielane nawet na piśmie. Są na to dokumenty.

W nowej organizacji rad powstał urząd naczelnika. Na tym terenie ja piastuję tę funkcję, a jest to funkcja niełatwa. Mam sporo problemów do rozwiązania. Owszem, słucham głosów radnych, ale decyzje podejmuję samodzielnie, czasem szybko, bo do tego zmusza życie. Dużą wagę przywiązuję do pracy sołtysów. Oni są najbliżej wsi, najlepiej znają jej bolączki, potrzeby. Oni też przede wszystkim powinni stykać się z chłopami, rozmawiać z nimi, tłumaczyć. Ale oczekuję też pomocy radnych, gdyż sam wszystkiego nie zrobię. Mamy określone zadania do spełnienia, musimy podnieść hodowlę, postarać się o to, aby zaktywizować wszystkich rolników. A przecież mamy wielu takich, którzy ledwie siebie wyżywią. I co się dzieje? Pod względem obsady bydła jesteśmy poniżej średniej powiatowej. Wprawdzie ze świniami jest o niebo lepiej, ale to nie może nas uspokajać...

* * *

Tak mówią w gminie Komarówka. A jakie są opinie chłopów z gminy Drelów? O tym za dwa tygodnie.

Notował MAJ

Kamena str. 4

Kąpiel w młodości

Marek Zdrojewski

POWSTAŁ w 1953 r., dziewiątym roku działalności Uniwersytetu. Jest więc najstarszym studenckim zespołem artystycznym UMCS. Wyróżnia go między innymi fakt, że jest w kraju jedynym, który został założony i jest od 20 lat prowadzony przez jedną i tę samą osobę — mgr. Stanisława Leszczyńskiego, starszego wykładowcę w uniwersyteckim Studium Wychowania Fizycznego. W jego rękach spoczywają choreografia, kierownictwo artystyczne i organizacyjne Zespołu.

Długoletni staż pracy w kulturze studenckiej i polskim ruchu folklorystycznym bynajmniej nie postarza Zespołu jeśli chodzi o wiek jego członków. Jest on ciągle bardzo młody, bo co roku w miejsce absolwentów uczelni przychodzą nowi studenci. W związku z dużą rotacją w Zespole, jego sukcesy — a przecież zawsze zdobywa nagrody na festiwalach — to sprawa naprawdę niełatwa.

W okresie dwu dziesięcioleci w Zespole — liczącym obecnie ponad 200 studentów — pracowało z górą 2 000 osób. Dawni członkowie przeważnie pozostają jego wiernymi sympatykami, a kierownikami 20 zespołów folklorystycznych w różnych zakątkach kraju są wychowankowie Zespołu Tańca Ludowego UMCS.

Zespół znany jest dobrze ludności wsi i miast województwa lubelskiego, a także innych regionów Polski (występował ponad 1 500 razy we wszystkich województwach). Ponadto w czasie wojaży zagranicznych koncertował 300 razy w 14 krajach: Anglii, Austrii, Belgii, Bułgarii, Czechosłowacji, Danii, Francji, Holandii, Niemieckiej Republice Demokratycznej, Niemieckiej Republice Federalnej, Szwajcarii, Szwecji, na Węgrzech i w Związku Radzieckim. Najdłuższe, jak dotąd, tournée artystyczne odbył w 1967 r. po terytorium Francji i Szwajcarii: 72 dni pobytu, 18 000 przejechanych kilometrów, 67 koncertów (w tym 23 w paryskim teatrze „Bobino") dla około 80 000 widzów. Wszystkie koncerty wśród nich i te krajowe, obejrzało niemal milion osób, nie licząc milionów telewidzów Inter- i Eurowizji oraz telewizji wielu krajów.

Godzi się zaznaczyć, że Zespół ma również takich zaprzysiężonych przyjaciół, jak np. pan Władysław Bobko (z Forbach we Francji), który w latach 1967—1973 był już na blisko 100 jego koncertach w aż 6 krajach. Dla niego Zespół Tańca Ludowego UMCS jest ponad wszelkie komplementy. Od niedawna jest on pierwszym (i na razie jedynym) zagranicznym członkiem Towarzystwa Przyjaciół UMCS, AM i AR w Lublinie, niosącego wydatną pomoc studenckim zespołom artystycznym.

Zespół nagrał dotychczas dwie płyty długogrające (we Francji i w Polsce), na których obok muzyki i śpiewu kapeli oraz piosenek ludowych grupy wokalnej i solistów, utrwalony został również śpiew grupy tanecznej. Tancerze bowiem w trakcie wykonywania tańców jednocześnie śpiewają. Efekt tego jest duży, ale i skala trudności niemała.

Członkami są studenci Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, których pierwszym obowiązkiem jest nauka. Profesorowie i asystenci nie stosują wobec nich żadnej taryfy ulgowej. Nic więc dziwnego, że tylko czas wolny od zajęć akademickich przeznaczają oni na ciężką pracę w Zespole. W jego skład wchodzą: tancerki i tancerze, kapela ludowa (zdaniem znawców — nie mająca sobie równych w województwie lubelskim) oraz wokaliści. Bezustannie wzbogacany repertuar obejmuje: tańce i melodie ludowe z większości regionów kraju, polskie tańce narodowe oraz tańce innych narodów. Obecnie zespół ma opracowane trzy różne programy pełnospektaklowe (po 2 godziny każdy), które prezentowane są bez konferansjera, a każdy taniec wykonywany jest w odpowiednich dla danego regionu, narodu czy epoki, bardzo bogatych i wielobarwnych, strojach.

W jednej z recenzji zagranicznych czytamy: „To było coś więcej niż zwykłe widowisko: to była kąpiel w młodości i radości. Wszystko to toczyło się z precyzją i w oszałamiającym rytmie". W innej napisano: „Są amatorami a przecież potrafili przejść przez niebezpieczny próg zwany amatorszczyzną, są studentami, a przecież mimo trudności zdołali połączyć naukę z pracą w Zespole. Wnieśli ze sobą nie tylko chęć tańca, ale i znajomość folkloru. Są bowiem ze wsi i miasteczek lubelskich i rzeszowskich, potrafią poza umiejętnościami dać również niemałą porcję autentyzmu".

Głównym i autentycznym mecenasem Zespołu są władze Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Dziewiąty rok z rzędu jego kuratorem, z ramienia Senatu UMCS, jest rektor prof. dr Wiesław Skrzydło.

Niedawno od Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" Zespół otrzymał medal i dyplom „Za osiągnięcia w rozwijaniu i popularyzacji polskiej kultury narodowej poza granicami kraju". W maju 1973 r. — jako pierwszy studencki zespół folklorystyczny — odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, przyznanym mu przez Radę Państwa PRL za całokształt osiągnięć w pracy artystycznej i wychowawczej.

Fot. A. Polakowski

JAK TO JEST Z TYM JAZZEM?

Jacek Grün

WŚRÓD wielu problemów młodego życia muzycznego Lubelszczyzny, a właściwie samego Lublina, wysuwa się na plan pierwszy coś, co od kilku lat boli zajmujących się w tym mieście rzetelną rozrywką. Chodzi mianowicie o jazz. Nie ten wyimaginowany, w szczątkowej formie dobiegający z estradek kawiarni, nie o ten, któremu ponoć hołdują co sprytniejsze grupy chałturzące w okolicach ansambli, ale o muzykę, z którą pokazać się będzie można gdzieś dalej, chociażby — przy okazji — na Lubelskich Spotkaniach Wokalistów Jazzowych.

Mieliśmy takich festiwali, dzięki Bogu, już trzy. Na trzecim dopiero, przed kilkoma miesiącami, wystąpił wokalista lubelski z towarzyszeniem naprędce skleconej grupy, która — powiedzmy to otwarcie — nie bardzo wiedziała co i po co gra. Przedtem rozpoczęły się targi, kto w tym zespole wystąpi i na czym będzie grać? Nie o konkurencję tu jednak szło. Problem w tym, że kierownictwo zespołu nie bardzo mogło znaleźć odpowiednich ludzi świadomych swojego poziomu muzycznego. Efektem był konglomerat muzyków jazzowych i stricte beatowych. Powiązania takie — i owszem — wychodzą na korzyść jazzowi, ale wówczas tylko, gdy cel jest zamierzony, a nie wynika z przyziemnego braku muzyków dobrze grających na instrumentach dętych czy strunowych.

Jak to się dzieje, że miasto tak duże jak Lublin, posiadające przeciętne środowisko muzyczne, ma kłopoty ze znalezieniem kilku instrumentalistów, gdy Poznań musi iść na ścisłą selekcję, gdyż chętnych (i to znakomitych) jest o wiele więcej niż przygotowanego dla nich zaplecza w formie klubów, sal do prób, instrumentów? Przy tego typu dyskusjach aż do znudzenia wysuwany jest argument: brak wyższej szkoły muzycznej i kompletna ignorancja ze strony placówek, a także ludzi nimi kierujących.

W obydwu skrajnych przypadkach zgodzić się można na pewne „za", ale i sprzeciwów zabraknąć nie może. Wyższa szkoła muzyczna nigdy nie dawała i nie daje jazzowi dużej grupy zdolnych instrumentalistów. Oczywiście, najznakomitsi polscy jazzmani mają skończone i po dwa fakultety PWSM, ale większość występujących ma tylko wykształcenie średnie. Tu pada zwykle kontrargument dotyczący naszej szkoły. Nie można jednak zapominać o jednym: tylko specjalne klasy lub zaprogramowane zajęcia z jazzu przynieść mogą efekty.

W Lublinie działał oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, a potem Stowarzyszenie Muzyki Rozrywkowej. Podczas gdy nazwa pierwszego bardziej określała sferę działalności, już prace drugiego były solą w oku pewnej instytucji, która wolała „nie posiadać" w sąsiedztwie podejrzanego w swych ambitnych zamiarach współpartnera. I tak, wspólnymi siłami, przy pomocy różnych ludzi i decyzji sprawę zamknięto jednoznacznie. Skutek? Łatwo się domyślić — nie „zorganizował się sam" festiwal jazzowy, który już zaczynał zdobywać tzw. tradycję (której ponoć brakuje wszystkiemu, co w Lublinie się robi), a skończył skandalikiem, przez miesiące i lata lubelskiemu słuchaczowi nie prezentowano koncertów jazzowych; „zachęceni" lubelskim przykładem warszawscy organizatorzy życia muzycznego wykreślili to miasto ze swoich planów.

Historia zresztą nadal jest w procesie tworzenia się. Minęły (bez echa) III LSWJ, a u nas nadal występuje Bractwo Kurkowe i inne tercety. Środowisko studenckie z narażeniem organizacyjnego budżetu sprowadza zespół ANAWA, a instytucje odpowiedzialne za kształtowanie nawyków estetycznych rozglądają się za zespołem Hellen i bardzo — tego typu — intratnymi kontraktami. Grupka ludzi próbuje w jednym z klubów uczyć się tego, czym jest jazz, ale pan kierownik żąda dwudziestu utworów rozrywkowych na jubileuszową bibę.

Mówi się zawsze, że jazz jest efektem przejścia od prymitywnego czasem beatu do wyższej muzyki, że wczorajsi beatowcy to dzisiejsi jazzmani, albo dzisiejsi słuchacze i wykonawcy jazzu to wczorajsi wielbiciele Presleya i Czerwonych Gitar. Rozwój jest jak najbardziej prawidłowy i pożądany. Pozwolę sobie na banał, jakże jednak życiowy o staniu w miejscu, które jest cofaniem się. A tak to, niestety, wygląda.

Jest więc przyczyna pierwsza: brak kontaktu muzyków lubelskich z jazzowym środowiskiem kraju, brak wzorców, które wtedy mogą przynieść efekty, gdy na wspólnych warsztatowych sesjach (jam session) włączymy się do wspólnego muzykowania i poczujemy smak takiej zabawy. Zdrowy snobizm zdziałać może więcej niż najdłuższe ćwiczenia i przesłuchiwania nagrań. Dopóki nie zorganizujemy tego, dopóty w Lublinie słuchać będziemy „wiązanki starych przebojów". Bo zdajecie sobie sprawę, koledzy-muzycy, że brakuje nam tych kilkunastu lat do innych środowisk, również nie posiadających wyższych szkół muzycznych. Najniższym bowiem stopniem „ujazzowienia" środowiska jest zespół jazzu tradycyjnego. Wyobrażam sobie jaki zapanowałby obłęd, gdyby nagle jakieś siły nieczyste kazały utworzyć w mieście taką grupę, jakie kłopoty wiązałyby się ze znalezieniem kogoś grającego na kontrabasie lub banjo; a przyznać muszę ze wstydem, że środowisko muzyków lubelskich poznałem już w stopniu wystarczającym do malowania prognoz. Co się dzieje, gdy na jam session festiwalowe przychodzi kwiat instrumentalistów i próbuje „rozmawiać" z naszymi gośćmi, ze wstydu zwykłego przemilczeć należy. I, tak toczy się jazzowy światek. Gorzej, że pojęcie „jazzowy" z równie czystym sumieniem zastąpić można słowem „muzyczny". A jak zaradzić? Zrealizować chociażby jeden — nie mój zresztą — z wymienionych postulatów. Jeśli nie pomoże, dam sobie odciąć rękę.

GÓRNIK Z LUBELSKIEJ WSI

Dokończenie ze str. 1

granatów, karabinów i amunicję. W czasie wysiedlania Niemcy wywieźli go na roboty w głąb Rzeszy. Pracował w Berlinie. Napisałem do niego list. Nadesłał odpowiedź. Pod bibułką koperty znajdował się szkic miejsca, gdzie była ukryta broń. Jak się to stało, że Gestapo na to wpadło, nie wiem, widocznie listy do mnie jako już wówczas podejrzanego, były kontrolowane. Nie zdobyli się jednak na odwagę bezpośredniego najścia. Wprawdzie mój pistolet nie miał naboi, ale stale ze sobą nosiłem granat. Użyli podstępu. Przyszła do mnie folksdojczka, córka sołtysa z wezwaniem do swojego ojca rzekomo w sprawie szarwarku. Nie podejrzewałem niczego. Wszedłem do Jasmena (tak się nazywał sołtys) a tam zza pieca i z kątów wyskoczyli gestapowcy z pistoletami maszynowymi. Był nawet sam „Ali", szef gestapo z Zamościa. Jednego z cywilów obecnych przy moim aresztowaniu widziałem później z okna więzienia. Był to agent, czy gestapowiec Linker, folksdojcz z Tomaszowa Lubelskiego.

Zakuto mnie w kajdanki i zawieziono do domu, gdzie przeprowadzono rewizję. Znaleziono pistolet, granat, części do karabinów, kilka zamków, amunicję i wojskową broszurę „Podręcznik drużynowego". Pytano po co mi to. Milczałem. Pokazano mi plan od Kitki. Tam było wymienione ile „patyków", „jajek", „pestek". Później jeszcze weszło dwóch Niemców w mundurach Wehrmachtu, tylko na rękawach mieli żółte błyskawice. Zawieźli mnie do Skierbieszowa na posterunek żandarmerii, stamtąd do Podhuszczki, na podwórze Kitki. Rozkuli mnie. Linker trzymał mi przed oczami plan, żądano, bym pokazał, gdzie jest ukryta broń. Sami znaleźć nie mogli, ponieważ miedza była już przeorana. Na gospodarstwie Kitki znajdował się nasiedlony tam pastor niemiecki z rodziną. Mogłem się zorientować, ale nie chciałem. Dano mi do ręki łopatę. Miałem zamiar uciec, ale Niemcy byli kilka kroków ode mnie rozstawieni wachlarzowato. Bito mnie i kopano, krew poszła mi z nosa, wyplułem przednie zęby. Nie byłem już zdolny do ucieczki. Niczego nie pokazałem. Wtedy kazano mi przy polnej drodze kopać dół. Kopałem. Kiedy opadłem z sił, wciągnięto mnie do samochodu i zawieziono do Skierbieszowa na posterunek żandarmerii. Stamtąd, nie każąc wysiadać, zawieźli mnie na cmentarz. „Ali" spytał, czy dobrze jedziemy. Kiwnąłem głową. Kiedy dojechaliśmy, Niemcy wysiedli, szwargotali coś między sobą. Później usiedli, zawieźli z powrotem do Hrubieszowa. Po drodze pytali, czy jest gdzie sklep z wódką. Był, ale wódka tylko na kartki. Sprzedawca Niemiec tłumaczył, że mu nie wolno. Ręce mu drżały. Tak wynosił im piwo do samochodu.

Zawieziono mnie na komendę Gestapo do Zamościa. Znalazłem się w piwnicy, w celi nr 5. Było tam już kilka osób, w tym dwie kobiety. Nazwisk już nie pamiętam. Po trzech dniach zabrano mnie na śledztwo na górę. Po przesłuchaniu zniesiono mnie już nie do celi nr 5, ale nr 1. Była to ciemnica. Na badaniach mówiłem w kółko: „Nic nie wiem, nic nie wiem". Bałem się, żeby się nie wygadać w nieprzytomności. Tam spędziłem cztery miesiące.

Byłem później więziony na Zamku Lubelskim. Nie będę opisywał wszystkiego, bo to by trwało za długo. Opowiem tylko o samym zakończeniu mojej niedoli.

Było to któregoś lipca 1944 roku, rano. Weszło Gestapo i otwarło drzwi. „Raus!" Z innych cel wywołano też — razem około 80 ludzi. Ustawiono nas w szeregu, gestapowiec spisywał po 10 na oddzielnych kartkach. Z podwórza bez przerwy słyszeliśmy serie. Rozstrzeliwano. Przypuszczałem, że i nas to samo czeka. Wyprowadzono nas jednak w kierunku Bramy Krakowskiej. Tam otoczyli nas własowcy. Pędzono nas za miasto. Później już było jak na wsi, po prawej stronie rosło zboże. Dużo niemieckiego wojska jechało tą szosą. W jednej furmance jadący Niemcy rzucili nam papierosy. Każdy chciał złapać, zrobiło się zamieszanie. Własowcy bili kolbami. Po prawej ręce miałem żywopłot. Skoczyłem. Posypały się strzały całkiem jak stado wróbli nad głową. Wydusiłem płuca z resztek powietrza, ale udało się uciec. W końcu zupełnie straciłem oddech i upadłem na miedzę porośniętą krzakami. Tam bez czapki, w koszuli spędziłem pierwszą noc wolności.

Później kierowałem się na południe, w swoje strony, omijając nawet wsie. Cóż, sporo jeszcze było Niemców. Tak szedłem kluczące blisko dwa tygodnie, aż nadszedł front. Chłop mnie ukrył w pewnej wsi, zdaje się Raśki, w piwnicy od ziemniaków. Rano były już wojska radzieckie. Zapytałem o dowódcę. Zaprowadził mnie żołnierz. Chciałem otrzymać jakiś papier, bo nie miałem niczego, a to przecież wojna. Radziecki oficer nie dał mi żadnego papieru, tylko spytał, gdzie chcę się udać. Odpowiedziałem, że w okolice Krasnegostawu i Zamościa. Kazał mi poczekać. Miał jechać samochód do Żółkiewki, to mnie zabierze. Na kartce papieru narysował, jak mam iść dalej. Tak dotarłem do Suchego Łąpna.

Później chciałem wstąpić do Wojska Polskiego, ale odrzucono mnie na komisji lekarskiej. Byłem jeszcze za bardzo osłabiony.

*

To właściwie osobliwy i oryginalny życiorys okupacyjny: represje nastąpiły przed aktem oporu. Michał Madej był bity, stracił zęby. W więzieniach nabawił się gruźlicy i choroby serca, nie wysadziwszy żadnego pociągu, nie napadłszy na żaden posterunek. Wystarczyło tylko podać parę nazwisk, by uniknąć wszystkiego. Nie zrobił tego. Wszystkie ciosy przyjął na siebie. Te dłonie, które częściej były zaciśnięte kajdankami, aniżeli same ściskały broń, są tak samo zasłużone dla ojczystej sprawy, jak dłonie wszystkich bojowników o wolność.

I dalej posiada wymowę symbolu, że w tych dłoniach pojawił się oskard górnika. Madej wprawdzie wrócił do rodzinnej wsi, ale na trzech morgach niewiele czego mógł się spodziewać. Na szczęście był czas, kiedy już nie trzeba było wyjeżdżać „na Sachsy". Na polskie ręce czekał polski węgiel. Było to w czasie, gdy Zachód martwił się, czy Polacy dadzą sobie radę z wykorzystaniem największych w Europie złóż węglowych.

Madej rozpoczął pracę w kopalni „Gottwald" w Katowicach w roku 1946. Był następnie w kopalni „Kleofas", później „Siersza". Rozpoczął jako górnik strzałowy, z wiekiem jednak i z postępem dolegliwości serca odziedziczonej po niemieckich więzieniach — jako górnik. Jest pracowity. Nawet przez długi czas ukrywał tę dolegliwość, by nie za wcześnie zostać wysłanym na emeryturę.

Jednak i tu los jakby po starej znajomości nie poskąpił mu sytuacji niebezpiecznych. Kiedyś Madej założył trzy ładunki do wysadzenia ściany węgla, a musiał się spieszyć, bo kończyła się szychta. Dwa lonty zapaliły się łatwo, trzeci ognia nie chwycił. Nie można jednak było zwlekać, należało odskoczyć kiedy tamte zbliżyły ogień do ładunków. Wybuchło. Madej sądził, że to wszystko i podszedł do ściany. Wtedy wywalił trzeci. Prosto w twarz i piersi. Omal nie stracił wzroku. Przez pół godziny nic nie widział. Zakończyło się jednak znacznie szczęśliwiej, niż mogło.

„Robota ciężka, ale jak się da radę, to człowiek zadowolony". Przez 25 lat zdążył ją polubić. Otrzymywał premie. Został odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Kupił sobie domek i teraz wraz z żoną wyrabia wino z jabłek, rosnących w jego sadzie. Zasłużony czas emeryta.

Za okupacji — jak sam wspomina — bardzo często brakowało mu czapki. Później miał nakrycie głowy z pióropuszem. Niewiele razy zdarzało się chwytać rękojeść pługa, ale kilof towarzyszył jego dłoni przez ćwierćwiecze. Ma prawo być dumny ze swego losu. Prowadził go drogą trudną, ale nie boczną. Prostą i męską.

Stanisław Zieliński

Przyszli inżynierowie są zmęczeni

Dokończenie ze str. 1

wanej kadry nauczycielskiej. Podobnej kadry potrzebują jednak również inne dziedziny i można powiedzieć, iż niewiele wiemy o sytuacji pracujących studentów spoza zawodu nauczycielskiego. A przecież postuluje się reformę i tego typu studiów.

Myślę, iż jest rzeczą bardzo cenną inicjatywa, z którą wystąpili członkowie Klubu Socjologów i Psychologów przy WRZZ w Lublinie. Rozpisali oni mianowicie ankietę pośród studentów wieczorowych i zaocznych na WSI, UMCS i AR w naszym mieście. Wprawdzie nie otrzymano rezultatów posiadających pełną wartość naukową, lecz i tak uzyskane wyniki pozwalają na kilka ogólniejszych refleksji, które warto by następnie zweryfikować w toku dalszych badań. Wnioski dotyczyć będą w pierwszym rzędzie studentów zaocznych na lubelskiej WSI, gdyż takiego materiału ankieta dostarczyła najwięcej.

Kim są ci ludzie? Przytłaczająca większość legitymuje się pochodzeniem robotniczym lub chłopskim. Nie podjęli w odpowiednim czasie nauki na studiach stacjonarnych ze względu — jak twierdzą — na ciężką sytuację materialną. Po maturze musieli po prostu stanąć do pracy, z czego można by wnioskować, że obowiązujący poprzednio system stypendialny na studiach stacjonarnych nie był najdoskonalszy.

Przeciętny, statystyczny student zaoczny ma lat około trzydziestu, posiada założoną własną rodzinę, przy czym współmałżonek z reguły pracuje. Małżeństwo takie ma na utrzymaniu dwoje dzieci. Jest to sytuacja niełatwa, z której widać, jak wielkiego wysiłku osobistego wymagają takie studia. Byłaby do przebadania kwestia skutków owej sytuacji dla życia rodzinnego studentów pracujących, ich zdrowia, wychowania dzieci. Niewiele na ten temat wiemy.

O podjęciu studiów decydowała na ogół chęć uzyskania kwalifikacji, wymaganych w związku z aktualnie wykonywaną pracą zawodową bądź z perspektywą awansu zawodowego. Bodźcem ostatecznym bywa często nacisk ze strony instytucji zatrudniającej. W przypadkach krańcowych, kiedy niebezpieczeństwo zrujnowania zdrowia czy życia rodzinnego wydaje się zbyt duże, instytucje delegujące powinny prowadzić politykę znacznie bardziej elastyczną, której założeniem byłoby typowanie na studia osób spośród kadry rezerwowej, spełniającej w danym momencie formalne wymogi obowiązujące na danym stanowisku. Dałoby to takim studentom większą swobodę czasową w przebiegu studiów, zaś instytucjom zapewniało bardziej naturalną politykę awansów.

Przeważnie student pracujący musi dojeżdżać na zajęcia uczelniane, tracąc około 2—4 godzin czasu na dojazdy w obie strony. Bywają przypadki, że i około 8 lub więcej godzin. Nierzadko są to dojazdy nocne. W tej sytuacji powstaje kwestia czasu, jaki ci ludzie mogą poświęcić na odpoczynek przed zajęciami na uczelni. Najczęściej twierdzą, że odpoczywają jedynie godzinę, aczkolwiek to sprawa do wnikliwego przebadania, choćby pod kątem zróżnicowania studiów wieczorowych i zaocznych.

Z tym się wiąże kwestia noclegów. W wielu przypadkach ludzie jadą „w ciemno", nie mając zarezerwowanego noclegu ze względu na trudności hotelowe. Nie jestem pewny, czy postulat budowy hotelów dla tego typu studentów jest realny? Może należałoby pomyśleć o szerszej sieci punktów konsultacyjnych w terenie, eliminujących uciążliwe dojazdy?

Jak wynika z wypowiedzi ankietowanych osób — dosyć niewesoło przedstawia się sytuacja w zakresie świadczeń, do których zobowiązane są zakłady pracy na rzecz studentów pracujących. Duża część nie otrzymuje zwrotu kosztów podróży na zajęcia uczelniane, podobnie z kwestią skrócenia czasu pracy. Zakładowe biblioteki nie posiadają literatury przydatnej na studiach, instytucje nie troszczą się o pomoce naukowe dla swych studiujących pracowników. Problemy te mają szanse znaleźć rozwiązanie w obowiązującej od dnia 21 marca 1973 roku uchwale nr 64 Rady Ministrów w sprawie zasad kierowania pracowników uspołecznionych zakładów pracy do szkół dla pracujących i na studia dla pracujących w szkołach wyższych oraz w sprawie ulg i świadczeń przysługujących tym pracownikom od zakładów pracy. Uchwała ta, scalając kilkanaście obowiązujących dotąd aktów normatywnych, wprowadza porządek w całym tym zagadnieniu i świadczy iż — być może — również kwestia studiów dla pracujących szybciej ruszy z martwego punktu nie tylko na odcinku obowiązków zakładu wobec studiującego pracownika.

Może warto by zbadać, jaka jest znajomość tej uchwały pośród zainteresowanych osób oraz instytucji? Kto wie na przykład, że pracownikom, którzy osiągnęli określone wyniki nauczania, zakłady mogą przyznawać nagrody pieniężne lub że ludziom, którzy uzyskali wykształcenie średnie czy wyższe, przysługuje prawo do awansu niezależnie od obowiązujących terminów awansowania?

Wydaje się również, iż nie zawsze należycie wykorzystują swe uprawnienia w tej dziedzinie rady zakładowe, które mają przecież możliwości interwencji, a często i środki, żeby ułatwić studiującemu pracownikowi uzyskanie mieszkania w pierwszej kolejności, otrzymania wczasów pracowniczych w okresie po sesji egzaminacyjnej czy choćby pomocy pieniężnej w trakcie roku akademickiego. Rozmiar pomocy ze strony rad zakładowych dla studiujących pracowników bywa dobrym wskaźnikiem stopnia samorządności w zakładzie.

Wspomniane poprzednio trudności z podręcznikami prowadzą ku kwestiom sytuacji uczelnianej studentów pracujących. Niewielu spośród ankietowanych odpowiada, że potrzebną literaturę uzyskują na uczelni. Skoro Dom Książki, jako instytucja handlowa mogąca sygnalizować wydawcy zapotrzebowania rynku, jakoś sobie nie radzi i skoro tzw. odkup prywatny nie zaspokaja potrzeb, trzeba na razie myśleć o szerszym wykorzystaniu uczelnianej „małej poligrafii", zwłaszcza w przypadku skryptów. Nie sądzę, aby wszystkie możliwości były w tej dziedzinie wykorzystane. A trudności w uzyskaniu odpowiedniej literatury sygnalizuje przytłaczająca większość ankietowanych.

Sporo też osób narzeka na rozmaite kłopoty z niedostosowaniem rozkładu zajęć do ich sytuacji. Duże znaczenie przywiązują ankietowani do stworzenia im warunków aktywnego i samodzielnego studiowania poprzez wcześniejsze zapoznanie z pełnym zakresem obowiązujących zagadnień oraz poprzez podanie w miarę szczegółowego konspektu z poszczególnych przedmiotów. Najprawdopodobniej nie zawsze i nie wszędzie postulaty te są przez pracowników nauki spełniane. W ogóle w świetle tej ankiety problem zmian w samym systemie studiów zaocznych

Dokończenie ze str. 1

tów. Ujrzałem zasadniczą jednokładność z opisywaną rzeczą, nieomylne trafianie w sens poetycki. A jednocześnie: cenny towar — dla żartu sprzedawany za pomocą reklamiarskich sztuczek, akrobację — wykonywaną mimochodem, wykwintność szczegółu — który wątpliwe, czy zostanie zauważony przez patrzącego. Pojedyńcze wiersze „Dorożki" zachwycały. Tom przygniatał nadmiarem.

Nie do uciszenia w pamięci jest ten wewnętrzny okrzyk, z jakim witałem Gałczyńskiego wiersz jeszcze na progu spojrzenia, przy odchylaniu karty literackiego pisma. Momentalnie skupiał na sobie całą uwagę, zagarniał atrakcyjność numeru. Dopiero on mówił. Miał intymne zabarwienie głosu, tonację, która od razu wpada w ucho. Jak gdyby przy czytającym protokół ktoś szepnął: „Pozwólcie ognia". I jak zbyt grubo poukładane wyglądały przy nim słowa sąsiadujące o przestrzeń międzyszpaltową, jak zapobiegliwie nanizane paciorki literackości. Ostrożnie, z uwagą, by nie uronić najmniejszej sposobności do popisu — nie taki był rytm tego wiersza. Gałczyński miał jakby już omówione z czytelnikiem obrazy porozumienia, przez które nie ciągnął uwagi czytającego po raz drugi. Był zawsze nowy. Każde z nim spotkanie było pierwsze.

Do wszystkich, ale do każdego z osobna przemawiała ta poezja. Trafiała nieodwołalnie. Była wypełnieniem osobistego zamówienia, wykonaniem umowy przybyciem oczekiwanego. Gałczyński — wierzyłem — jest tylko mój. Bo cóż że analizowali, wynajdywali, wywodzili. Poza Gałczyńskim świetnym i Gałczyńskim jedynym ileż jeszcze było Gałczyńskiego „Trudno — nazwać — jakiego" Oprócz doskonałej satyry i niespotykanej liryki ileż nie do uwierzenia olśniewającej „achgałczyńskości"!

Bardzo pragnąłem znaleźć się w zaczarowanym kręgu, który roztaczała ta niezwykła indywidualność. Tu i tam słyszałem o spotkaniach z Gałczyńskim, skrupulatnie łowiłem szczegóły anegdotyczne, ale irytowała mnie niefrasobliwość, a niekiedy amikoszoneria tych relacji. A jednocześnie — nie sam to unik przed snobizmem — nie mogłem zdobyć się na decyzję bezpośredniego kontaktu z wielkim poetą. Bałem się go obrazić. Tak. Bo jeśli nie płytka ciekawość i chęć popisania się przed znajomymi („Byłem u Gałczyńskiego"), to co mogło być motorem podobnego pragnienia? Chęć otrzymania „komentarza odautorskiego"? Poezja jest najpełniejszym objaśnieniem. Zamiar „głębszej" rozmowy? A jaka jest ta zawarta w wierszach? Prawda, że „jednokierunkowa", ale co z kolei miałem do powiedzenia Gałczyńskiemu ja? Że się „bardzo podoba"? Istnieje wprawdzie coś praktykowanego, co się nazywa wizytą, ale czy jej konwencjonalność — jeśli już przymknąć oczy na okoliczność osobistej nieznajomości — nie byłaby degradacją mojego uwielbienia?

* *

Zobaczyłem go w listopadzie 1947 roku na poranku autorskim w lubelskim teatrze. Po podniesieniu kurtyny oparty o ścianę prosceniu niskiego wzrostu człowiek przeszedł na środek sceny w drodze już mówiąc „To było, proszę państwa, tak" i wiersz „Na dłonie Krystyny", księżniczki Mediolanu, malowanej przez malarza Holbeina — bez tytułu. Tytuł podał po skończeniu wiersza.

Adres „Aleja Róż 6 m. 15" przebłyskiwał w pamięci jak złota sztaba z morskiego dna. Któregoś jesiennego wieczoru 1952 roku spotkawszy w Warszawie kolegę z Lublina — był nim Leszek Siemion — powziąłem desperacką decyzję. Było późno: godzina 8. Postawiłem jednak na „mimo wszystko".

Niespodziewany dzwonek wpadł w pasmo domowego życia w momencie, kiedy już żadne głosy z zewnątrz nie były przewidziane. (Stało się. Co Gałczyński teraz robi? Na co patrzy? Jak widzi?"). Otworzyła Natalia. Przepraszaliśmy kawałkami słów, chaotycznie, jak sztubacy, którzy nie umieją lekcji. Właściwie plątał się sam kolega, ja zapomniałem, że w ogóle coś trzeba mówić. Chwila się przedłużała, zapadło milczenie, które pastwiło się nad naszą bezradnością. Odpowiedzi mijały się z pytaniami, niewiele brakowało, byśmy zaczęli referować wrażenia z filmu, lub szukać zgubionego pudełka zapałek. W końcu zdobyłem się:

— My bardzo przepraszamy... chcielibyśmy... poezja pana Gałczyńskiego... no tak, jest za późno... to nasza wina... w takim razie...

I już trudno było ocenić, czy

— Pozwól, Kostek

było uznaniem tytułu wizyty, czy wezwaniem do pomocy w indagowaniu niepoczytalnych.

Kiedy zaczyna działać zasada gościnności, czuję nietakt swoim własnym i tylko do mnie skierowanym wyrzutem. Pierwotnie zamierzałem „tylko zobaczyć", teraz jestem gościem na dobre. Dzięki niczemu własnemu. Dzięki mechanicznej sile konwenansu. Czuję, że będzie mi to przeszkodą w wystarczającym wyjaśnieniu powodów najścia. Milcząco odwołuję się do Gałczyńskiego: niech broni mnie przede mną samym, niech stępi ostrze moich zarzutów do mnie samego skierowanych. A jednocześnie od pierwszego momentu uprawiam chciwe szpiegostwo: patrz, jesteś w centrali swojego wzruszenia.

Fakt, że nie mogę odnaleźć własnego języka wygląda na nietakt. Jakbym momentu nie uznał za właściwy do rozpoczęcia rozmowy, co miałoby zależeć ode mnie. A równocześnie na jawną wścibskość. Jakbym nie pozwalał przemówić gospodarzowi, zanim nie nachwytam w oczy szczegółów jego mieszkania: półka z książkami, łóżko, gitara, biurko, lampa, panlery... Chcę się w tym pierwszym zetknięciu nie liczyć. Ale następne „Czym mogę służyć?" próbuję wewnętrznej mobilizacji i — słyszę towarzysza dość nawet płynnie tłumaczącego cel naszej natrętności. W odpowiedzi jest ten „gałczyński" uśmiech z gestem wskazującym na krzesła.

Później — z jakiegoś przysiadu na poręczy łóżka marsz po pokoju z nisko skrzyżowanymi rękami przed sobą. Niski. Siwy. Z podniesioną głową. Ze skłonnością do pozycji i gestów „nietypowych". W miękkich pantoflach, w brązowym dresie z wyciągniętą na zewnątrz podszewką kieszeni. Autor „Niobe", „Śmierci Andersena", „Notatek z nieudanych rekolekcji paryskich".

Siedzi teraz z zawiniętymi rękawami koszuli. („To te ręce, które..."). Ma zwyczaj bardzo uważnie przyjmować słowa rozmówcy, a jednocześnie widać, że chwilami opuszcza je dla perspektywy bocznej myśli. Jego twarz to nieustanny ekran obrazów, nastrojów, treści. (Ile się tego nie zmieściło w wierszach?).

Siemion mówi o „Kolczykach Izoldy". Gałczyński znowu zaczyna chodzić.

(Chwilami zdaje się lekko zarzucać biodrem. Idzie, jakby nie wykonywał ruchu poziomego. Jakby wstępował. Teraz wygląda, że zapomniał o naszej obecności. Jest z sobą. Przystanie. Powiedzie dłonią po konturach przedmiotu. Zatrzyma się bez powodu. Jest przy nim jakaś aura, jak przy kimś, kto przyjechał z dalekich stron i jeszcze nie przyzwyczaił do siebie obecnych).

Siemion mówi: „coś, co jest oryginalne, a nie jest oryginalnością". Biedzę się. Dobre. Ale nie w duchu wyidealizowanej przeze mnie mszy. Jest za bardzo „z zewnątrz", „zauważone", ma „punkt widzenia". Staram się naprawić. Słowa się obtłukują, nie mogę ująć skłóconej gromady. Na koniec wspomniawszy coś o niewspółmierności języka poezji z językiem prozy mówię pierwsze strofy „Kolczyków" z heroldami, żołnierzami i dziećmi. Znam wiersze dobrze, a zacinam się. Gałczyński wpada w przerwę.

— Wie pan, „Kolczyki Izoldy" jako tako znam. Może o czym innym?

Przepraszam i zapada milczenie, które traktuję jako „własne". Chcę nim powiedzieć „wszystko", a wiem że wszystko mnie zawiedzie. Mimo to próbuję. Nie, znów recytuję. Tę strofę: z „Niobe":

„Zaręczyny w altanie. Perła.
Szmaragd. Rubin.
„Ballady i romanse". Imiona. Wiatr
w pola.
A księżyc, on do ucha mówił, mówił,
mówił —
a gdzie to jest?"

Że to już nie do udźwignięcia. Że to bezmiar poezji. Że nie chce się wierzyć, by mogło istnieć. Gorączkowo. Chaotycznie Jakbym odbierał Gałczyńskiemu autorstwo, staram się mu udowodnić doskonałość strofy. Tego księżyca, który „on do ucha mówił". Wiem, że wartość mojej wypowiedzi równa się zeru, ale już mi jest „wszystko jedno".

Gałczyński siedzi z założonymi rękami, dłońmi podtrzymując łokcie. Opuścił lekko powieki, porusza milcząco ustami, jakby zatrzymywał słowa. Później łączy dłonie palcami i opuszcza je na kolano. Mówi o potrzebie znajomości języków; przytoczone wyrażenie tłumaczy spokrewnieniem obcojęzycznej składni.

Zegarek przypuszczalnie gdzieś istnieje, ale żaden z nas — samozwańczych gości — nie ma ochoty na bliższą z nim styczność. Jednak do świadomości dobija się uwaga, że ostatecznie „jakieś" normy przyzwoitości istnieją, liczymy się z koniecznością zakończenia wizyty wyjętej chyba wprost z jakiejś nienapisanej „Zielonej gęsi". Mamy już w ręku maszynopis „Liścia dzikiego wina" (tytuł późniejszy: „Dzikie wino") podany nam na prośbę o wiersz jeszcze nie drukowany. Nadużywając cierpliwości gospodarza prosimy o wiersz napisany ostatnio.

Światło z ulicy dochodzi aż tutaj („Aleja Róż 6, m 15"). Za oknem jesień, poprzedniczka tej „jak kalejdoskop". Gałczyński idzie. Idzie bardzo powoli. Zbliżył się do biurka. Teraz podnosi arkusz. Nie, to zabłysnął trójramienny świecznik. Czas zwalnia. Gałczyński odbywa podróż z przeciwnego kąta pokoju. Kilka kartek niesie oburącz. Bardzo powoli. Przekłada zmieniając kolejność. Bardzo powoli. Siada na poręczy łóżka. Zapala bras de mur o kształcie dorożkarskiej latarni. Pochylony w światło mówi:

„Tu jest ciało złożone,
tu jest grób Beethovena,
gdzie to wzgórze zielone
i perspektywa srebrna"

Na dworze poczułem się nieswoio. Ukradłem polskiej poezji dwie godziny. A chciałem go tylko pocałować w rękę.

Zygmunt Mikulski

PODRÓŻ DO GAŁCZYŃSKIEGO

K. I. Gałczyński

NOCNY TESTAMENT

Ja, Konstanty, syn Konstantego,
zwany w Hiszpanii mistrzem Ildefonsem,
będąc niespełna rozumu,
piszę testament przy świecach.

Ćmy się, zaznaczam, kręcą przy lichtarzach
i drżą, i ręka mi drży —
a więc majstrowi, co lichtarze stwarzał,
zapisuję czerwcowe ćmy.

Jeśli kiedy go rozwlecze chandra,
w wieczór będzie wśród tych ulic stąpał,
ćmy się zaczną kręcić po werandach,
gasnąć kule niebieskie na klombach,
ćmy zobaczy, twarze w złotym dymie
i przystanie. I wspomni me imię.

A poetom żyjącym i przyszłym
zapisuję mój kaflowy piec,
w nim spalone myśli i pomysły,
czyli różne gry niewarte świec,
nadto księżyc, pełny mój kałamarz,
co mi sprzedał go wędrowny kramarz.

Jeśli tedy kiedyś, w latach innych,
jak ja dzisiaj nocą wzniosą głos
i rozłożą swoje pergaminy,
wzdychać zaczną, jak uwieńczyć noc —
to ja będę w kuszeniach chmur,
w pergaminach i skrzypieniach piór,
bom ja nocą zaszumiał i odszumiał,
i do dna jej partytury zrozumiał.

Córce mojej, Kirze tancerce,
zapisuję niebiosa siódme,
cherubinów modlących się z tercyn,
szum wysoki i światła ułudne,
i przyrodę jak skrzynię sekretów —
niechaj z niej się uczy swoich baletów.

Teofilowi, gdy się w mieście zmierzchnie,
daję całą uliczkę do szeptów
oraz pewną bramę na Lesznie,
gdzie był kuty w żelazie Neptun,
ale uciekł, bo miał wstręt do miasta.
Teraz w niebie jest spokojna gwiazda.

Wszystkimi dobrym cały czar, co wezbrał
na tej ziemi, daję jak alfabet:
pory roku ze złota i srebra
i dzięcioły, i te muszki nawet
wieczorami, wielkim rojem, przy okacjach,
w głębi zorza, z której się nie wraca...

Wierszom moim fosforyczne furie
blaskiem w wertep ciemny i zły —
a mojej Smaglej, mojej Smukłej, mojej
Pochmurnej
łzy.

rysuje się szczególnie wyraźnie i o tym reformatorzy oświaty będą musieli pomyśleć.

Popularność studiów zaocznych i wieczorowych wśród osób pochodzenia robotniczo-chłopskiego wskazuje na takie czy inne niedomogi systemu studiów dziennych, a w każdym razie dotychczasowego systemu. Należy przypuszczać, że przy sprzyjających warunkach materialnych i społecznych znaczna część studentów studiów wieczorowych i zaocznych znalazłaby swe miejsce pośród społeczności uczelni dziennych — bezpośrednio po maturze. Jak widać, dotychczasowe metody „poprawienia składu socjalnego" studiów stacjonarnych nie całkiem zdały egzamin, podobnie zresztą i cały system owych studiów. Dlatego myśl o reformie w tej materii jest nad wyraz racjonalna i wypada się tylko cieszyć, że już wkraczamy w etap realizacji.

Trzeba sobie powiedzieć otwarcie, iż studia dla pracujących łączą się z wysokimi kosztami społecznymi i jeśli reforma studiów dziennych okaże się skuteczna, to dokształcanie uczelniane ludzi zatrudnionych zawodowo powinno z roku na rok ograniczać swój zakres drogą całkowicie naturalną. I to byłaby sytuacja zdrowa. Nie można wszak sobie wyobrazić, by studia dla pracujących w ogóle zniknęły z powierzchni naszego kraju, zawsze bowiem będzie pewien odsetek ludzi, którym się nie powiodło ze względów losowych, a którzy chcieliby ten typ nauki podjąć.

Ponadto trzeba pamiętać, że jeszcze długie lata studia te będą stanowiły drogę awansu i kariery zawodowej przede wszystkim dla ludzi pochodzenia robotniczo-chłopskiego. I stąd szczególna waga tej sprawy. Nadal są one dodatkowym, ale nader ważnym środkiem awansu społecznego i rozwoju zawodowego. Są narzędziem realizacji kapitalnej dla społeczeństwa socjalistycznego zasady równowagi szans.

Jeżeli nie chcemy, by na przykład przyszli inżynierowie, studiujący w systemie dla pracujących, przeżywali te kilka lat akademickich w ciągłych dojazdach, zwierzęco zmęczeni, by z tych studiów wychodzili ze zrujnowanym zdrowiem i życiem rodzinnym — o reformie tego rodzaju studiów powinniśmy poważnie myśleć już teraz. I to nie tylko od strony struktury samego nauczania, ale również od strony warunków socjalno-bytowych. Omawiana ankieta poddaje te problemy pod wnikliwą rozwagę.

Wojciech Kurhan

Z włóczęgi

W MONT
NIE PRZE

W SWOIM życiu (a trochę się już pożyło i pojeździło po świecie) widziałem cztery Rolls Royce'y. Jeden w Paryżu, jeden w Wiedniu i dwa w Londynie. Mam na myśli, oczywiście, Rollsy na chodzie, a nie w salonie samochodowym. Nic więc dziwnego, że widok dziewięciu Rollsów na jednym placu średniej wielkości zbulwersował mnie. Ten stan duchowy osiągnął swoje apogeum, gdy za kierownicą jednego z nich ujrzałem szofera-Murzyna w liberii, suto szamerowanej złotem. Dlatego też zapewne z nonszalancką obojętnością zajrzałem do wnętrza białego Mercedesa-600. Był w nim wprawdzie telewizor, były magnetofon i telefon, ale szofera w liberii zabrakło...

Wszystko to stanowiło dekorację obszernego placu przed kasynem gry w Monte Carlo. Plac zabudowany jest domami i gmaszyskami, ociekającymi fin de sieclem. Gdy rzuciłem okiem na wnętrze restauracji, usytuowanej w pobliżu kasyna, to mnie dosłownie zatkało. Hej, żebyście zobaczyli te brązy, złocenia, lustra, marmury, gipsowe girlandy, kryształowe świeczniki, nie mówiąc o srebrach (pewnie fałszywych) na stołach! Przepych aż kapie. Jeszcze chwila, a pojawi się dżentelmen we fraku, prowadząc damę o włosach spiętych diamentowym diademem. I rzeczywiście: dżentelmen we fraku pojawia się jak na zawołanie. Tyle tylko, że bez damy z diademem, natomiast z serwetką przewieszoną przez ramię.

WEJSCIE 5 DOLARÓW

Cerber, stojący przy oddrzwiach, obramowanych (oczywiście) marmurem i złotkiem, wyciąga dłoń. Nie po napiwek wszelako, lecz w formie zakazu. Do kasyna nie można wnosić aparatów fotograficznych ani wchodzić z dziećmi. W rezultacie mój pierworodny dostaje do potrzymania aparat i musi czekać na rodziciela na schodkach.

Śmiało zmierzam do następnych drzwi, również obramowanych marmurem. Aliści mój krok traci na sprężystości. Do sali gier można, co prawda, wejść bez względu (horrendum!) na strój, trzeba jednak przed tym uiścić bagatelną sumkę 20 franków (około 5 dolarów). Niezależnie od tego, czy się zasiądzie przed ruletą, czy się postawi coś w chemin de fer, bądź w bakarata, piątala trzeba bulić. Stoję więc smętnie przy zamkniętych drzwiach i udaję, że nad czymś rozmyślam. W pewnym momencie drzwi się uchylają i ktoś wychodzi. Pozwala mi to zerknąć w głąb sali. I aż mnie odrzuciło. Nikt z grających w niczym nie przypominał ani grafa, który w ciągu pół godziny był w stanie przegrać pięć wsi (300 dusz), ani księcia kaukaskiego, ani nawet skromnego, szeregowego milionera made in USA. W sali było w ogóle pustawo i jakoś melancholijnie. Nikt — o ile mogłem dobrze dostrzec — nie miał obłędnego wzroku, nikt nie usiłował sobie palnąć w łeb, a demon hazardu krążący wśród stolików bardziej przypominał obłaskawionego kotka.

Całości tego fatalnego obrazu dopełniał szokujący fakt, iż w westybulu zainstalowano automaty do gry. Takie, jakie można znaleźć w każdym większym mieście, nie wyłączając Lublina.

Po obejrzeniu tego wszystkiego przypomniały mi się liczne opowiadania, nowele, powieści i reportaże na temat Monte Carlo. Z ogromną wyrazistością widać — konfrontując rzeczywistość z tymi opowieściami — że również i w tej, tak peryferyjnej, dziedzinie mamy za sobą całą epokę.

Z CZEGO ŻYJĄ I TO NIEŹLE?

W tej minionej epoce podstawą egzystencji księstwa Monaco było — rzecz prosta — kasyno. Jak to kiedyś napisał Kisch (cytuję niezbyt dosłownie), w Monte Carlo ludzie wygrywali — lub (przeważnie) przegrywali. Ale kasyno wychodziło zawsze na swoje. Pewnie z tego prostego powodu, że przegrywających było kilkaset razy więcej niż wygrywających.

Gdyby dzisiaj Jego Wysokość Rainier III (tudzież jego małżonka, księżna Gracja, de domo Kelly) oparli budżet „państwa" na wpływach z kasyna, rychło musieliby ogłosić upadłość i utrzymywać się z pracy rąk. Do tego jednak nie dojdzie (a nie dojdzie) z wielu przyczyn. Po pierwsze — rzeczona księżna Gracja wspomaga wlanie kilkadziesiąt milionów dolarów uciułanych zarówno przez tatusia-rzeźnika, jak też przez nią samą w okresie kariery filmowej. Po drugie — doradcy finansowi księcia potrafili tak zagmatwać przepisy podatkowe, iż przekształcili Monaco w Eldorado. Doszło do tego, że dziesięciu mieszkańców księstwa przynosi dała jedna firma... Zdenerwowało to nieco potężnego sąsiada — Francję — który wymógł znaczne ustępstwa w tym podatkowym bałaganie. Ale nawet to, co zostało po wojnie celno-podatkowej z Francją, wystarczy, aby książę i jego poddani żyli sobie wcale znośnie.

Ostatnio wymyślono jeszcze jeden sposób dla nakręcania koniunktury. Powo-

Jan Wojciech Krzyszczak w „Obronie Sokratesa".

Fot. J. Mendychowski

znani i nieznani

NIE POWTARZAĆ SIĘ...

Mirosław Derecki

KRZYSZCZAK znów stoi przed wielką niewiadomą, przed kolejnym życiowym „być albo nie być". Cel, do którego uparcie dążył, do którego zmierzał tak bardzo okrężnymi i różnorodnymi drogami, został nareszcie osiągnięty: jest aktorem zawodowym. Ale właśnie dlatego, że w sposób pewny stanął na deskach scenicznych dopiero w trzydziestym pierwszym roku życia, tym bardziej wyraziście rysuje mu się pytanie: co dalej, i — jak dalej? Na pewno wie, że — jak powiada — „zawodowiec, w odróżnieniu od amatora, to człowiek, który nie musi zawsze wygrywać, ale nie może sobie pozwolić, żeby to, co robi, robił źle."

Takie słowa dyktuje Krzyszczakowi życiowe doświadczenie. Ale przecież przez te wszystkie lata, podczas których tkwił po uszy w ruchu amatorskim, kiedy z ubogiego, peryferyjnego klubu przy lubelskiej Cukrowni wyruszał na wielkie, ogólnopolskie imprezy i festiwale — nigdy nie rzucał na swoją szalę atutu amatorswa. Po spektaklu „Obrony Sokratesa" według dzieła greckiego pisarza Kostasa Varnalisa, który przywiózł na II Ogólnopolskie Spotkania Amatorskich Teatrów Jednego Aktora odbywające się w Zgorzelcu, krytycy pisali: *Spektakl zaskakująco dojrzały i mądry. Jan Wojciech Krzyszczak przede wszystkim potrafił wyciągnąć wnioski z samej istoty „przedmiotu", który zamierzał przekazać odbiorcy i znaleźć dla niej adekwatną formę teatralną. Nie udawał Sokratesa, pozostał współczesnym człowiekiem, spowinowaconym z „młodymi zbuntowanymi", ale z tymi, którzy są uzbrojeni nie tylko w emocje, lecz i w żelazną logikę. Stworzył postać poniekąd uniwersalną i walczącą o uniwersalia, ale sprawdzalną pod różnymi szerokościami geograficznymi i w różnych czasach.*

„Obroną Sokratesa" wybronił się zarazem Krzyszczak na forum zawodowego środowiska teatralnego od pozostania na pozycjach tylko „miłośnika Melpomeny". W protokóle zamykającym spotkania jury postanowiło zaproponować organizatorom VII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora we Wrocławiu (a jest to festiwal, w którym biorą udział tylko zawodowcy i to po przejściu rygorystycznie traktowanych eliminacji) — dopuszczenie „Obrony Sokratesa" do udziału w Festiwalu, motywując to następująco: *wymieniony spektakl nie tylko zdecydowanie przerasta najlepsze znane nam dokonania w teatrze amatorskim, lecz także jest najbardziej dojrzałą, twórczą propozycję teatralną spośród znanych nam i prezentowanych m. in. na wrocławskim festiwalu spektakli opartych na tym samym tekście.*

We Wrocławiu Krzyszczaka zawiodły nerwy i gardło, więc powrócił do Lublina „tylko" z nagrodą dziennikarzy. Ale i tak pozostawił za sobą kilkunastu innych uczestników.

Krzyszczak pracuje samotnie. Bez pomocy reżyserów i scenografów, bez opłacanych przez instytucje kulturalne doradców i nauczycieli „kultury słowa" „ruchu scenicznego", „interpretacji tekstu". Sam sobie wybiera materiał literacki, sam go przykrawa i adaptuje na potrzeby spektaklu, sam obmyśla scenografię i dobiera tło muzyczne. Takie zresztą postępowanie mieści się w jego pojęciu Teatru Jednego Aktora. Albo — jak powiada — Teatru Jednego Człowieka. Staje przed publicznością, aby się jej zwierzyć ze swoich własnych niepokojów i przemyśleń, ze swoich własnych fascynacji. Żeby przemówić do widza słowami autora, ale poprzez pryzmat własnej osobowości. W odwiecznym konflikcie jednostki ze zbiorowością nie dopuszcza udziału żadnych pomocnych rąk. W każdym innym wypadku Teatr Jednego Aktora jest fikcją. To normalny teatr, tylko że w przedstawieniu bierze udział zaledwie jeden aktor.

W tym swoim własnowolnym osamotnieniu Krzyszczak stara się nawet unikać ludzi, którzy zawodowo parają się krytyką teatralną. Broni się przed ocenami wykoncypowanymi w zaciszu gabinetów, szuka sprawdzianu tego, co robi, w rozmowach i dyskusjach organizowanych wśród publiczności, ad hoc, po zakończeniu każdego spektaklu.

„Purytanizm" Krzyszczaka ma, być może, swoje uzasadnienie w życiorysie tego zwalistego, wąsatego, posturą szlagona przypominającego aktora-amatora-zawodowca. Może na dnie jego postępowania tli się wciąż wspomnienie o wiejskim chłopaku, który przed kil-

Kamena str. 8

Europie (6)

CARLO
RAŁEM

Krzysztof Janowicz

Towarzystwo Rozwoju Gospo- Monaco, które dokłada starań, gnać do księstwa nie tylko nadzianego turystę, lecz rów- nieco szczuplejszej kabzie. Dla- można już spotkać w Monaco ych od złota, secesyjnych su- gospody z umiarkowaną taryfą. kryształowo-srebrno-marmuro- racje o rozmiarach hali dwor- również popularne snack-bary, owe knajpki i tanie kawiaren-

zamierzenia uwieńczyło powo- dno w czasie krótkiego poby- się na jednoznaczną odpowiedź. co Roll Royce'y, Mercedesy-600 ale większość to samochody po- są chmary turystów, których wygląd zewnętrzny w niczym ich od tych, których możemy spot- ulicach Paryża, Monachium czy Wiednia. Zresztą Monaco ma genialne położenie. Leży na szlaku, łączącym najpiękniejsze uzdrowiska morskie Włoch z najpiękniejszymi kurortami Francji.

A przecież tranzyt to też byznes. Nawet, jeśli turysta zatrzyma się jeden dzień, też wyda kilka dolarów (franków, guldenów, marek, szylingów). Zje choćby obiad, wypije coca-colę, coś zwiedzi, coś kupi. Na takich tranzytowcach opiera się przecież również przemysł turystyczny Szwajcarii. I to nieźle się opiera.

GDZIE SIĘ PODZIAĆ?

Monaco ma niewiele ponad 25 tys. mieszkańców. Dzieli się na trzy okręgi miejskie: na same Monaco, na Monte Carlo oraz La Condamine. Gęstość zaludnienia księstwa bije wszelkie rekordy: ponad 14 tys. mieszkańców na 1 km kw.

Gdzieś się ci ludzie muszą podziać. Buduje się więc przede wszystkim wzwyż. Domy wspinają się na szczyty górskie, otaczające Monaco. I nie tylko wspinają się, lecz są same coraz wyższe. Próbuje się i innych sposobów. Oto odcięto falochronami (pochłonęły one 3 mln ton kamienia) 22 hektary morza. Obecnie obszar ten zasypuje się. Po zakończeniu prac (a dodajmy — bardzo trudnych, ponieważ głębokość morza,. nawet przy brzegu, przekracza 40 metrów) rozpocznie się tu budowa nowego miasta. Będzie się nazywało Fontvieille. Nie jest to bynajmniej inwestycja obliczona na dziesiątki lat, coś na pograniczu technicznej utopii. Wręcz przeciwnie! Terminy są — jak na takie przedsięwzięcia — bardzo krótkie. Pierwsi lokatorzy Fontvieille wprowadzą się do nowych domów już za niespełna dwa lata.

Jest więc Monaco przedziwną mieszaniną końca ubiegłego stulecia i nowoczesności, wybiegającej już w wiek XXI. Podobnie ma się rzecz także z mentalnością jego mieszkańców. Są to przeważnie ludzie przedsiębiorczy, energiczni, obrotni, nowocześni. A równocześnie przywiązani do tradycji, nieraz trochę kiczowatej. W pismach ukazują się regularnie łzawe lub krzepiące stories z życia wyższych sfer. Wszędzie roi się od podobizn rodziny panującej. Nawet krótki pobyt najstarszej córki książęcej pary w ojczyźnie (dziewczę uczy się w znanym ze srogiej klauzury college'u w Anglii) kwitują gazety przy pomocy długich artykułów.

Nawiasem mówiąc, autentyczni obywatele księstwa stanowią niewiele ponad... 10 proc. ludności. Reszta to „cudzoziemcy", przede wszystkim Francuzi. Jest także sporo Włochów. A mimo to posiadanie na samochodzie litery „M", oznaczającej, iż pojazd jest zarejestrowany w Monaco, stanowi powód do dumy.

A w ogóle w Monaco jest jakoś liberalnie. Przekroczenie przepisów drogowych nie powoduje automatycznie wlepienia wysokiego mandatu, lecz raczej ojcowską reprymendę ze strony policjanta. Kąpać się można również na dzikiej plaży, nie płacąc ani franka za wstęp. Jedyna trudność — to przebranie się, ale przy odrobinie wprawy można się z tym uporać.

Gdy tak się pluskałem w błękitnych falach Morza Liguryjskiego (przyjemnie sobie o tym przypomnieć w słotny, zimny, listopadowy wieczór...), zobaczyłem, że zatoczkę, w której się kąpię, coś tam otacza. Ni to sieci, ni to ogrodzenie. A było to po prostu zabezpieczenie przed rekinami, które — jak się dowiedziałem — często odwiedzają wybrzeże księstwa. Wzruszył mnie niemal do łez fakt, że tak się tutaj troszczą o życie i zdrowie nawet tych osób, które korzystają z bezpłatnej plaży.

I wtedy przypomniała mi się pewna — ponoć jak najbardziej autentyczna — historia, zapisana w annałach kasyna gry w Monte Carlo. Oto na długo przed pierwszą wojną światową zawinął w pobliże Monaco krążownik Jego Imperatorskiej Mości Mikołaja II. Czy to była wizyta kurtuazyjna, czy też uczestnictwo we wspólnych manewrach francusko-rosyjskich, nie pamiętam. Dowódca krążownika odwiedził (a jakże!) kasyno i spłukał się tam do nitki. Nazajutrz wpadł na genialny pomysł. Podpłynął do Monaco, kazał skierować lufy dział na kasyno i oświadczył: albo oddadzą forsę, albo obróci kasyno w kupę dymiących gruzów. Forsę oddano.

ło po maturze do próby dostania się do szkoły teatralnej.

Ponieważ Krzyszczak jest przekorny, po odpadnięciu z egzaminów zainteresował się na dobre recytacją. Może tam zresztą mniej było przekory, a więcej chęci udowodnienia sobie i innym, że drzemie w nim talent aktorski, ale Krzyszczak obstaje przy przekorze... W tym czasie zaczęła go również interesować muzyka. Tak jak „sam z siebie" umiał rysować, tak również nie wiadomo kiedy, po paru lekcjach wziętych u wiejskiego kolegi, nauczył się grać na skrzypcach. Swoje umiejętności muzyczne zaczął rozwijać po wstąpieniu do Studium Nauczycielskiego w Lublinie na sekcję wychowania muzycznego i śpiewu.

Ten okres życia wspomina Krzyszczak jako okres radosny. Przez dwa lata studiów buszował z dwoma kolegami, z którymi założył zespół muzyczny, po wszystkich wsiach sąsiadujących z Jakubowicami, obsługując wesela, chrzciny i ludowe zabawy. To ponowne, świadome „zstąpienie" na wieś miało się później odbić w jego działalności teatralnej.

Ale na razie, w 1964 roku, był dyplom i rozpoczęcie pracy w Zasadniczej Szkole Budowlanej przy ul. Sulisławickiej w Lublinie, na stanowisku kierownika zajęć pozalekcyjnych.

Po czterech latach pracy w szkole, Krzyszczaka przestało interesować nauczycielstwo. Strząsnął z siebie ten zawód równie łatwo jak zawody, które dotychczas wykonywał, albo do wykonywania których się sposobił. Tylko, że teraz już w sposób bardziej świadomy stawiał następny krok na drodze do teatru: podjął pracę kierownika klubu przy lubelskiej Cukrowni, miał tam większy kontakt z ruchem amatorskim i więcej czasu na kształtowanie własnego warsztatu.

W 1969 r. wychodzi z pierwszą swoją próbą teatralną, wynikłą z zafascynowania Gałczyńskim: „Podróżą Chryzostoma Bulwiecia do Ciemnogrodu". Pierwsza nagroda na Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Poezji, a następnie zaproszenie na centralny koncert poetycki zorganizowany w Gdańsku z okazji obchodów 25-lecia PRL. Taki jest początek Teatru Jednego Aktora, któremu Krzyszczak dał nazwę — „Bulwieć — 69".

Krzyszczak jest przekorny. Kiedy zespoły recytatorskie i teatry poezji brały na warsztat wielce poważne teksty, on wystąpił z „Rozkoszami kultury" według Zoszczenki. Po przedstawieniu w Nowej Hucie, gdzie przybył już jako laureat I nagrody na Wojewódzkim Przeglądzie Teatrów Poezji w Lublinie, Gabriela Rajchert stwierdzała na łamach „Sceny": *Nowohucki pokaz miał także swój prawdziwy koncert aktorski. „Rozkosze kultury" program według tekstów Zoszczenki, dzięki Janowi Krzyszczakowi okazał się być iście rozkoszną zabawą dla całej, uginającej się z wolna pod ciężarem brzemiennych w konflikty programów, wiernej pokazowi publiczności. Inwencja, urok sceniczny, żonglowanie nastrojem, sugestywność w kreśleniu obrazu — pozwalają na wysoką ocenę kolejnej próby, tak modnego obecnie, teatru jednego aktora.* Skąd czerpał Krzyszczak wiedzę o tuzinkowym obywatelu młodego Kraju Rad, stykającym się nagle z ogromnym ładunkiem przemian, jakie przyniosła z sobą rewolucja w każdej dziedzinie jego życia? Czy nie z obserwacji podobnego mu chłopaka z podlubelskich Jakubowic?

Jednak na grunt problemów nurtujących dzisiejszą wiejską społeczność coraz bardziej przesuwającą się ku stykowi: wieś-miasto, wkroczył dopiero w roku następnym, prezentując monodram „Stary" według opowiadania Juliana Kawalca „W słońcu". Wśród czterdziestu konkurentów, podczas I Ogólnopolskich Spotkań Amatorskich Teatrów Jednego Aktora, Krzyszczak wysunął się na pierwsze miejsce. *Chodziło pozornie o sprawy zwyczajne w dwudziestowiecznym dynamicznie cywilizującym się świecie. Przemysł pochłania wieś, młodzi idą do miasta bez kompleksów i tęsknoty za ziemią, starym jest trudniej, na dodatek oba pokolenia nie bardzo się rozumieją.* To nie tylko Kawalec, to również Krzyszczak, jego rodzice, jego znajomi ze wsi Jakubowice, włączającej się coraz dosadniej w krwiobieg miasta Lublina.

W 1971 r. z inscenizacją „Starego" zbiegło się ukończenie przez Krzyszczaka czteroletniego studium teatralnego przy warszawskiej CPARA. Z inscenizacją „Obrony Sokratesa" w roku 1972 — zdanie przed państwową komisją w Warszawie egzaminu na uprawnienia aktora estrady. W roku bieżącym, gdy Krzyszczak zaadaptował dla swojego Teatru „Konopielkę" Edwarda Redlińskiego (znowu ten nawrót do problematyki wiejskiej!) — przejście na etat aktorski w lubelskiej „Estradzie".

Co będzie dalej? Czy zmierzch Teatru Jednego Aktora i oddanie się w pełni „zawodowi"? Zawodowi pełnemu raf i mielizn, na których już tylu zdolnych utknęło, który niesie — w odróżnieniu od amatorstwa — tyle rozgoryczenia i tyle rozczarowań? I co na to Krzyszczak? Krzyszczak odpowiada, że jedno jest pewne, jak mówi w „Konopielce" Redliński — „szkoda życia na powtarzanie jednego".

Już w trakcie przygotowywania numeru do druku z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że na wrocławskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora Jan Wojciech Krzyszczak otrzymał jedną z dwóch II równorzędnych nagród (pierwszej nie przyznano) za spektakl „Kirelejson" według „Konopielki" Edwarda Redlińskiego. Serdecznie gratulujemy.

OD ironizowania od parodii. Można też powiedzieć: od wirowania rzeczywistości do nonsensu i w ten sposób zobrazować rozwijającą się linię twórczości Janusza Głowackiego. Pisarz ten po „Wirówce nonsensu" i „Nowym tańcu la-ba-da" wydał obecnie trzeci z kolei zbiór szkiców — „Paradis" *. W przeciwieństwie do zbiorów poprzednich „Paradis" zawiera tylko dwa opowiadania, jedno krótsze — „Raport Piłata", drugie rozbudowane i noszące tytuł tomu. W obydwu widać właściwości autora wcześniejszych książek, a pamięć o nich znacznie ułatwia lekturę. Zmiana bowiem poszła w kierunku spotęgowania dawniej występujących cech, a więc: wzmocnienia przedmiotowej ironii oraz dodatkowego skomplikowania i „uegzotycznienia" obrazu prezentowanej rzeczywistości.

W miarę czytania nasuwa się stwierdzenie, że poszczególne elementy prezentowanego świata są bardzo znane, a równocześnie odmienione, odległe, zaś całość trudna do jednoznacznego uchwycenia. Dzieje się tak zwłaszcza w opowiadaniu

„RAPORT PIŁATA"

„Raport Piłata", w którym przy odbiorze narzucają się często odesłania do świata Ewangelii. Pierwszy sygnał przynosi już umieszczone w tytule słowo Piłat, a później znajdujemy całe sceny, jakby przeniesione z historycznego czasu w bliżej co do miejsca nie ukonkretnioną współczesność np. świata Zachodu. Mamy więc niejasno zarysowaną postać stylizowaną na Mesjasza, dochodzi do konfrontacji tłumu z policją, do pobicia, ukoronowania i ewentualnie (nie jest to scena jasna) ukrzyżowania przez tłum młodzieńca, który chce, a nie bardzo może, spełnić ofiarę z życia — podkreślić w ten sposób wagę głoszonej idei, zyskać dla niej gorliwych zwolenników.

Nie wiadomo jednakże co to za idea, czego chce zbuntowana o anarchistycznym nastawieniu młodzieży i jej „przywódca" pokorny szarlatan, który powiada: „że już jest ostatnia chwila i że albo prawda zwycięży, albo świat w ogóle przestanie istnieć". Obraca się natomiast w kręgach narkotyzujących się ludzi, w świecie nierządu i pijatyk. Wypływa na fali wywołanych rozruchów i sam się przyczynia do ich zaistnienia. Jego zamierzenia gubią się w intencjach tłumu, prawdy religijne nikną w „rewolucyjnych", anarchistycznych programach społecznych. Totalne „bezprogramie" staje się programem, a poszukiwanie niejasnych idei, ma je właśnie zastąpić. Nieświadomy bunt-protest młodych, skierowany przeciw mechanizmom społecznym: propagandowym a zwłaszcza zarządzającym, zostaje wykorzystany przez te instytucje. Koncerny wydawnicze zyskują sensacyjne informacje, prefekt policji dzięki rozruchom dochodzi do władzy, zaprowadza burzony wcześniej porządek.

Rzeczywistość okazuje się bardziej skomplikowana w swym zawiłym systemie politycznych rozgrywek i autentycznych, ale głębiej nie uświadomionych buntów i religijnych pragnień, a te z religią niewiele mają już wspólnego. Zbliżają się natomiast do sekciarskich skrzywień z wywoływaniem — z szarlatanerską zabawą w nowego proroka. Paradoks tkwi w rzeczywistości, w jej świecie utraconych prawd kryjącym pod powłoką frustracji zhippiesowanej młodzieży (Zachodu) groźne schorzenia społeczne. A pamiętać trzeba, że Głowacki jako twórca ma w sobie coś z reportażysty-diagnostyka, wiele z bystrego obserwatora współczesnych przeobrażeń w środowiskach młodzieżowych. Jego „Raport Piłata" jest też pisarskim dokumentem wzmacniającej się tendencji obumierania wartości, przy towarzyszącym wysiłku „instynktowego" i podświadomego szukania dróg powrotu.

Tadeusz P. Polanowski

* Janusz Głowacki: Paradis. PIW 1973, s. 146 zł 12,—

Nagroda Wojewódzka dla Ryszarda Lisa

LAUREATEM tegorocznej Nagrody Wojewódzkiej Prezydium WRN w dziedzinie plastyki został Ryszard Lis, co odnotowujemy z satysfakcją, gratulując artyście.

Ryszard Lis urodził się w 1935 roku w Kurowie na Lubelszczyźnie.

Dyplom Wydziału Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych otrzymał w 1964 roku. Miał wystawy indywidualne oraz pokazy w Warszawie (Salon Debiutów — 1964), Lublinie (klub „Zamek" — 1965, BWA — 1970) i Zamościu (1972). Niektóre wystawy ogólnopolskie: „Wystawa Czterech Województw" w Lublinie (1965), „Przeciw Wojnie" (Lublin, 1966), „Eksperyment 66" (Lublin, 1967 — wyróżnienie), XXI Festiwal Sztuk Plastycznych w Sopocie (1967 — nagroda w dziale malarstwa).

Fot. Z. Zugaj

Malarstwo w rozumieniu R. Lisa nie jest zajęciem obliczonym na stworzenie spójnego obrazu, odpowiadającego takim czy innym rygorom formalnym, aczkolwiek pracom tego artysty nie sposób odmówić wewnętrznej logiki, sprawności warsztatowej i innych walorów, które pozwalają mówić o tzw. dobrym malarstwie. Przede wszystkim jednak Lis skłania się do poglądu — dokumentując to w praktyce twórczej — że sztuka jest szczególną postacią wyrażania opinii o świecie i jego ludzkich problemach — współczesnych, a także historycznych, rezonujących przecież w świadomości dzisiejszego człowieka. To przeświadczenie każe Lisowi posługiwać się formą symboliczną („krzyże zasługi") i kształtem aluzyjnym, albo tak komponować abstrakcyjne płaszczyzny, że ich sens znaczeniowy jest w miarę czytelny i nie pozostawia wątpliwości co do intencji autora, który chce przekonać widza, że przebywa on w świecie ciągłego zagrożenia podstawowych wartości egzystencjalnych.

Owo pojmowanie roli malarstwa, zapewne sztuki w ogóle, doprowadziło Lisa do redukcji środków czysto plastycznych — na rzecz tekstów wpisywanych w obrazy. Artysta podziela zdanie, mające zresztą już pewną tradycję na terenie sztuki współczesnej, że dzieło malarskie jest w gruncie rzeczy tylko materialną egzemplifikacją określonego procesu myślowego, który stanowi sprawę najważniejszą działalności twórczej, niejako ją uzasadnia. Równolegle autor realizuje przecież bardzo wypracowane płótna, o wysmakowanej kolorystyce.

K.

MALOWANE TARGI

Ireneusz J. Kamiński

DRUGIE Ogólnokrajowe Targi Polskiej Plastyki Współczesnej zgromadziły w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki ponad 6 tysięcy dzieł sztuki i wyrobów plastycznych, co bardzo ucieszyło prasę stołeczną. Najbardziej przecież powinna być zadowolona pewna malarka z Lublina, która sprzedała pięć niewielkich obrazów — już w pierwszym tygodniu trwania imprezy, zwycięsko konkurując z warszawskim artystą, znanym nam dobrze autorem nastrojowych pejzaży kazimierskich, coraz bardziej popularnym w kręgach inteligencji z pierwszego pokolenia. Malarka zdobyła serca publiczności wizerunkami dzieci, spowitymi w aureole czystości moralnej, dobra i matczynego uczucia. Odłóżmy zatem na bok cyniczne posądzenia, sygnowane przez zarozumialców skupionych wokół „Nowego Wyrazu", jakoby społeczeństwo nasze było nieczułe na prawdziwe piękno i wartości wyższego rzędu, zachłystując się zhomogenizowaną papką kultury masowej oraz populacją rodzimego „Fiata".

Ujawniając te fakty nie popełniam niedyskrecji, albowiem przepisałem je z oficjalnego „Komunikatu Prasowego" targów. Zwięzłe informatory, ukazujące się co dnia, odbiegały zresztą od stereotypowej formuły, powielanej w tego typu wydawnictwach. *Już za 400 zł można kupić przedmiot nie tylko cieszący oko wybrednego znawcy ale znajdujące zastosowanie w każdym elegancko urządzonym domu* — cytuję, zachowując oryginalną interpunkcję i składnię dokumentu.

Wybredni znawcy posiadający eleganckie mieszkania upodobali sobie poza tym w ikonach: *we wtorek np. sprzedano ich cztery za 1720 zł a pierwszy dzień Targów 3.* Wielu nabywców znajdowały również stylizowane chochle zakopiańskie, medaliony, popielniczki, przede wszystkim zaś szkło artystyczne z Rzeszowa i Wrocławia. W okresie targów były piękne dni, kiedy obroty przekraczały 100 tysięcy złotych, wydatkowanych przez nabywców indywidualnych i uspołecznionych. Huta „Warszawa" kupiła ogromnego „Kopernika" za kilkadziesiąt tysięcy plus kolorową tkaninę z orłami za równie przyzwoitą kwotę.

W XV wieku we Włoszech, na progu renesansu, istniał przede wszystkim mecenat społeczny, tożsamy z opiekuńczo-handlową działalnością gildii, władz miejskich, kościołów i klasztorów. W następnym stuleciu artyści zaczęli pracować na rzecz arystokratycznych rodów, taki Wawrzyniec Wspaniały wprost prześladował malarzy, rzeźbiarzy i architektów swoimi zachciankami natury estetycznej. W telewizyjnej „Udręce i ekstazie" Michał Anioł śmierdzi brudem i potem, ale śmierdzi z ciężkiej roboty, nie z nędzy. 3000 florenów, które otrzymał od papieża Juliusza II za freski w Kaplicy Sykstyńskiej, to doprawdy niezły pieniądz, wystarczy przypomnieć, że najwyższy rangą urzędnik Florencji miał wówczas uposażenie równe 800 florenom. Buonarotti nie był zresztą wyjątkiem, honorarium Ghirlandaja za namalowanie fresków w St. Maria Novella wyniosło 2000 florenów... O tamtych sytych czasach jeszcze dziś ze łzą w oku wspominają artyści — członkowie ośmiotysięcznego związku plastyków. Źle robią, bo wybierają fakty najwygodniejsze, zapominając chętnie na przykład o tym, że w całym wieku XV działało we Włoszech zaledwie 40 malarzy. Inaczej więc kształtował się rynek artystyczny, malarz urodzał się rzadko, był człowiekiem na wagę kilku tysięcy florenów.

Największym powodzeniem cieszyły się na targach rzeczy małe i tanie, aczkolwiek jeden z warszawiaków *zakupił obraz R. M. Owczarka „Kwiaty w białym wazonie" za 6780 zł, zaznaczając, że pojedzie on do Francji* — jak zauważono w „Komunikacie" nr 3. Należy przypuszczać, że przetransportowanie malowidła do Francji podniesie jego wartość handlową, a informacja o tym fakcie rzuci nas, wschodnioeuropejczyków, na kolana przed R. M. Owczarkiem. Nie ma co, tylko warszawiacy potrafią handlować!

Prasa obiecywała, że w targowej ekspozycji każdy obywatel znajdzie coś odpowiedniego, zgodnego z jego gustem. Święta prawda. Na dwóch kondygnacjach pałacu znaleźliśmy bowiem prace autorów, których nie sposób odszukać w katalogach jakichkolwiek wystaw, nawet okręgowych. Komisarz stołecznego straganu, Grzegorz Moryciński, wytłumaczył, że jest to następstwem *demokratycznej zasady dopuszczenia wszystkich, którzy należą do ZPAP, dla których targi są być może jedyną okazją do publicznego pokazania własnego dorobku.* Kto przyniósł, zaoferował ten znalazł miejsce w pałacu i szansę sprzedaży. Dzięki takiemu myśleniu Pałac Kultury i Nauki przypomniał podczas targów rezerwat osobliwości, w którym obok wartościowych dzieł sztuki mrugały do publiczności przeróżne straszydełka.

Właściwie nie przeczyło to idei targów, z punktu widzenia prawa handlowego wszystko było w porządku, jako że każdy z uczestników imprezy posiadał koncesję, czyli legitymację związkową, uprawniającą do sprzedaży. Trudno przecież powiedzieć, aby takie postawienie sprawy sprzyjało kształtowaniu odpowiednich kryteriów estetycznych u ludzi, którzy pełni ufności do słowa pisanego i stylów „PSP", „ZPAP" tłumnie przybyli do sal wyłożonych marmurami, chcąc chociażby okiem zaanektować oferowane dzieła. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w rozumieniu człowieka, który kontaktuje się ze sztuką za pośrednictwem torebek plastikowych z malowanym wyznaniem „I like Kopernik!", każdy obraz i grafika, każdy wazon i tkanina, ukazane w tak dostojnym miejscu, są niewątpliwie kwintesencją dobrego smaku. Spora część publiczności składała się z takich właśnie, dopiero przystępujących do sztuki osób, które przybywszy na targi po naukę, opuszczały je z mętlikiem w głowie. Należałoby chyba wyznaczyć w przyszłości jakiś poziom minimum, którego przekroczenie gwarantowałoby udział autora w targach. Kto nie dorasta do tego poziomu, bardzo przepraszamy, żegnamy, w tym miejscu chodzi o sprawy daleko ważniejsze od upłynniania remanentów.

Handel wymaga sprytu i odwagi. Niestety, artyści z ośrodków wojewódzkich takimi walorami nie dysponują. Wycenili oni swoje prace w granicach zdrowego rozsądku, mniej więcej proporcjonalnie do wartości oferowanych płócien czy grafik, uwzględniając moce materialne klientów. Wyjątkową odwagę ujawnił natomiast artysta warszawski Antoni Fałat, który za acrylowy obraz pt. „Raczka rączkę myje" zażądał 20 300 złotych. Jego kolega stwierdził, że to dobra, bo trzeba ludzi przyzwyczajać: *niech wiedzą, że obraz jest wartością.* Rączka rączkę myje...

Inny artysta stołeczny proponował klientom „Drzwi do lasu", zrealizowane w technice „reglamentowanej", oczekując za dzieło 28 tysięcy. Pofałdowany metal, przypominający mosiądz, wypełniał drewnianą ramę o wymiarach metr dwadzieścia na trzydzieści centymetrów i w zamyśle autorskim miał zapewne powodować tzw. grę wyobraźni. Gra kosztowna, lecz chyba deficytowa.

* * *

Wniosek (jednostronny): targi przyczynią się do dalszej popularyzacji autorów, zajmujących się plastyką przyjemną dla oka, dekoracyjną, przydatną podczas uroczystości zakładowych i rodzinnych, co w naszych warunkach społeczno-kulturalnych można nawet uznać za niekłamany sukces.

Stara „ANAWA" w nowej formie

ROZMAWIAJĄC z Janem Pawluśkiewiczem po koncercie grupy ANAWA wyraziłem się, że takiego pomieszania z poplątaniem już dawno nie słyszałem, i żeby to pomieszanie dało tak znakomite efekty. Wydawało mi się, że leader nie miał specjalnych pretensji o tak nieteoretycznie sformułowaną opinię. Gdy w zespole krakowskim centralną postacią był jeszcze Marek Grechuta dosyć konkretna linia muzyczna, narzucona zresztą przez odpowiadający wokaliście styl, realizowała się przez jednostajne nieco środki wyrazu. Nieraz próbowano rozbić salonowy chwilami, kameralny nastrój, lecz były to wyjątki. Wprowadzone w słynnym „Korowodzie" instrumenty perkusyjne, gitary i fujarka to jeden z nielicznych wyjątków.

Kiedy na fotelu wokalisty zasiadł były członek świetnych Dżambli — Andrzej Zaucha, obdarzony znakomitym feelinglem, coś przełamało się w aranżacjach i muzycznych koncepcjach kompozytora i kierownika Jana Pawluśkiewicza.

Koncert grupy ANAWA był jednym z najlepszych, jakie ostatnio słyszałem, a sporo ich jednak było. Przyjrzyjmy się tylko muzykom, a wnioski wypływające z tego zestawienia nasuną się same. Anna Wójtowicz (wiolonczela) — absolwentka konserwatorium, członek zespołu od jego początków; Eugeniusz Makówka (perkusja) — absolwent łódzkiego konserwatorium; Tadeusz Kołuch (skrzypce, trąbka) — były trębacz jazzowy, absolwent PWSM w Krakowie; Jan Gonciarczyk (kontrabas) — absolwent PWSM słynny muzyk jazzowy; Zbigniew Frankowski (gitara); Zygmunt Kaczmarski (skrzypce, gitara) — znany jazzman, kompozytor; Jan Kanty Pawluśkiewicz (fortepian) — kompozytor, leader, i wreszcie wspomniany już świetny Andrzej Zaucha.

Wielu z nich przez lata uprawiało jazz, jeden grał nowoczesny underground. Zetknięcie się wielu zainteresowań, upodobań, umiejętności odbiło się w grze całego zespołu.

Zacząłem od plataniny, a więc pora na tłumaczenie: free-jazz, reminiscencje z muzyki indyjskiej i całego Dalekiego Wschodu, muzyka poważna i proste elementy beatu, afro-kubańskie bogactwo rytmów, to wszystko w powiązaniu z filozofią egzystencjalistycznych tekstów. Efekt zetknięcia — zaskakujący. Czysty głos Zauchy, free-jazzowe zgrzyty instrumentów, atonalna muzyka obok cudownie melodyjnych partii utworów. Wszystko budowane na prostej zasadzie nieustających kontrastów. Po tekstach pełnych filozoficznej zadumy ironiczna fersa: „Nie przerywajcie zabawy", utrzymana w melodii popularnych przebojów. Doskonałe teksty Leszka Moczulskiego i fragmenty z epopei indyjskiego „Gilgamesz", pochodzącego z roku 3000 p.n.e. W sumie: wspaniałe widowisko i niezapomniane wrażenie muzyczne. Zespół, który pokazać możemy wszędzie i mierzyć się razem z nim sukcesami na miarę Europy.

(igr)

fot. M. Sachadyn

WIEŚ TWORZĄCA W „KAMENIE"

ZIEMIA I PIEŚŃ

ROK IX GRUDZIEŃ 1973 NR 28

III WALNY ZJAZD STL

W DNIACH 1 i 2 grudnia br. obradować będzie w Lublinie ogólnopolski sejmik artystów spod strzechy, którzy już po raz trzeci w ciągu pięciu lat działalności Stowarzyszenia Twórców Ludowych zbiorą się, by podsumować dorobek i wytyczyć plany na najbliższą przyszłość.

Pięć lat to wprawdzie bardzo mało. Ale jeśli się zważy fakt, że Stowarzyszenie, które powstało z działającego zaledwie przez trzy lata Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w 1968 r. w Lublinie, startowało z pozycji bardzo skromnych (100 członków, brak lokalu, szczupłe dotacje itp.), a dopracowało się rangi ogólnopolskiej — mówi to samo za siebie. 8 oddziałów wojewódzkich, liczne kluby powiatowe, blisko 600 członków, setki spotkań autorskich, wystaw, konkursów, kiermaszy, festiwali, publikacje prasowe i książkowe, nagrody i wyróżnienia, stypendia i zapomogi dla wielu twórców chłopskich zdecydowanie podniosły autorytet Stowarzyszenia i stworzyły możliwości jeszcze bardziej skutecznego oddziaływania na środowiska twórców ludowych w całym kraju.

Nic też dziwnego, że — zgodnie z przysłowiem o apetycie rosnącym w miarę jedzenia — rozpoczęto szereg długofalowych prac na rzecz warunków socjalno-bytowych członków STL, dostawy materiałów deficytowych, rozszerzenia bazy wydawniczej i wystawienniczej, ochrony prawa autorskiego itd. Wszystko wskazuje na to, że większość tych starań już wkrótce zakończy się sukcesem, zaś niektóre z nich znajdą rozwiązanie na III Walnym Zjeździe STL.

Nowe władze, które wybierze liczące około 150 osób grono delegatów reprezentujących wszystkie regiony kraju, znajdą z pewnością dobre warunki do dalszego umacniania pozycji Stowarzyszenia i pełnej realizacji planów, jakie nakreśli Zjazd w myśl hasła „Kultura ludowa — dobrem narodu".

Wszystkich uczestników Zjazdu serdecznie witamy na Ziemi Lubelskiej, życząc im owocnych obrad i systematycznego pomnażania dorobku w ochronie i rozwoju folkloru, który — jak mało krajów na świecie — umieliśmy w porę uratować i twórczo zaangażować dla dobra współczesności.

(R)

Konkurs poetycki im. Jana Pocka rozstrzygnięty

W DRUGĄ rocznicę śmierci jednego z najwybitniejszych polskich poetów ludowych, Jana Pocka z Kalenia, pow. Puławy, rozstrzygnięty został doroczny konkurs poetycki jego imienia, organizowany przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych. W konkursie wzięło udział 51 poetów z całej Polski, którzy nadesłali ponad 200 utworów. Jury w składzie: dr Tadeusz Kłak — przewodniczący oraz członkowie: wiceprzewodniczący ZG STL Aleksander Fijałkowski, doc. dr Michał Łesiów, dr Roman Rosiak i mgr Zofia Wójcikowska, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę w wysokości 2000 zł — **Stanisławowi Gąsienicy Byrcynowi** (godło „Kozłowiec") z Zakopanego — za zestaw wierszy;

II nagrodę w wysokości 1500 zł — **Hance Nowobielskiej** (godło „Suscok") z Białki Tatrzańskiej, pow. Nowy Targ — za zestaw wierszy;

III nagrodę w wysokości 1000 zł — **Walentemu Jareckiemu** (godło „Raj") ze Stawu, pow. Wieluń — za zestaw wierszy;

Wyróżnienia po 500 zł ex aequo: **Marii Kozaczkowej** (godło „Jampol") z Dąbrowy Tarnowskiej, **Feliksowi Rakowi** (godło „Dziadek") z Borowca, pow Włoszczowa, i **Genowefie Książek** z pow. Ropczyce;

Nagrody rzeczowe przyznano: **Eugenii Kosowskiej** (godło „Wisła") z Jakubowic Końskich, pow. Lublin, **Stefanii Kapłan** (godło „Szarotka") z Suchej Beskidzkiej, **Janowi Nadolnemu** (godło „Janus") z Wielbarka, pow. Szczytno i **Alfredzie Magdziak** (godło „Czeremcha") z Sitańca, pow. Zamość.

Wszystkim laureatom tego konkursu serdecznie gratulujemy, wyrażając przy tym nadzieję, że może w przyszłym roku wśród grona nagrodzonych znajdzie się więcej przedstawicieli Lubelszczyzny, z której przecież pochodził Jan Pocek.

I NAGRODA

Stanisław Gąsienica Byrcyn

LAS

I rósł las.
Wto wiy, kieli cas,
Niejednako smreki chrube,
Zaś na buku widno chude,

A turnice posiekane
Zawiesistyj mianem zwane,
I bieli się turnia w grani
Wśród lesistej trownej plani.

Z wiyrchu turni echo niesie,
Co go słychno w całym lesie.
Orłów piskanie
W samo świtanie.

Kiedy orel w gniazdo nowe
Ku swym młodym przsiod z łowe
Wśród tego lasa
Blisko sałasa.

Co stoł w holi na polanie.
Nad nim miały gniazdo kanie —
Na skraju lasa
Blisko sałasa,

Co stoł w holi w zimie, w lecie,
Cas go scyrbi, śniyk go gniecie,
Dym mu z watry ściany cyrni —
W nim siedzieli chłopcy hyrni.

I Gadeja, i Mocarny,
I Mateja zbójnik śwarny
Pokiela zyli,
Cynsto tu byli.

Fot. Archiwum

II NAGRODA

Hanka Nowobielska

GÓRALSKO ZIEMIO

Nie powiem tobie góralsko ziemio,
ze cię miełujem,
ftoś, co mo w słowach wyzsość nademnom
zgrabniej to ujmie.

Świat mój w tym, co jest z tobom wspólnotom
cały zawarty,
bo lo mnie woda to znacy potok,
a góry: Tatry.

Bo lo mnie drzewo to znaczy smrecek,
abo jesionek,
a do bywanie nie trza nic więcej
nad z płazów domek.

Kwiat kozdy oko mierzyć przywykło
nasom goryckom,
a zaś muzyke głosem turlików,
kie w zimie zbyrcom.

Zgrabność letkimi jak ptosków loty,
skokami kozic,
dysc — planetnikiem, co się wśród grzmotów
chmurami wozi.

Cichość zaś nocą, z gwiazd okalstą
tęsknić miedzuchem,
smutek gróbarzem, co wanty cisko
na wieka truchel.

Odzienie — chustką turecką w kwiaty,
jarmarkiem kupno,
jedzenie — miską gruli zalotyk
kwaśnicą juchą,

Piekność — tym świątkiem co na soerębie
ftoś go wyrzezoł
i świątkiem, ftory z kaplicki głębi
zagonów strzeze.

Pochność — syrokim, krzyżwym dychnięciem,
toniec — ozwodnym,
a ludzkie zycie i ludzkie scęście —
scytem ślebodnym.

III NAGRODA

Walenty Jarecki

POLSKA

Przede mną i za mną i wokół mnie
jak okiem sięgnąć
jest kraj rozległy
biało-czerwony
Polska
rozśpiewana ziemia
rozdzwoniona pieśnią skowronka
na cztery świata strony
od wiosny aż do odlotu

tu bocian brodzi po łąkach
tu koncertuje w zaroślach
słowik majowy artysta
tu moje miasto
tu moja wioska
i ludzie
zagrzebani w radościach
nadziejach
i troskach
a nad głową niebo jak Biały Orzeł
a pod nogami jak morze
sercu bliska
ziemia ojczysta
tu jest mój dom rodzinny — Polska.

Baśń
ło carodziejskim lusterku

Piotr Krzykalski

BUŁO to za barzdownych casów, w jednym kraju, gdzie potokami płynął miód, stoł na wysokiej górze zomek królewski. Dach tego zomku buł kryty scyro złotą blachą, a ściany buły zdobione brylantowymi kamieniami róznego koloru.

W zomku tym miyskała przy łojcach dorodno królewna na wydaniu, nic tyz dziwnego, ze z wszyćkich stron świata zjyzdzali się królewice, hetmani, magnaci prosić ło rękę tyj urodziwej królewny.

Łono buła dumno ze swyj urody i bogactwa, totyz drwiuła ze wszyćkich, a nawet jednemu królewicowi, tyz ło piyknej urodzie, pedziała: nie jesteś ty godzien nie ino mnie, ale tyz mojemu łojcu i matce cyścić butów.

Straśnie to zabolało tego królewica, smętny wraco ze swoim łorsakiem do swojego kraju, po drodze se myśli, jakby sie to zemścić za jyj pychę? Widać i konie tyz buły smutne, bo nie parskały radośnie, ino głowy miały spuscone ku ziemi, choć łowsa im nie brakowało.

Ledwo przekrocuł granicę tyj królewny, juz na swoim terenie spotkoł na gościńcu łomdlałego staruska, który się z głodu przewróciuł i ni mógł się podniyś. Zeskocuł królewic z konia, podnius łomdlałego staruska i doł mu się napić najpiyrw dobrego wina, a potem pokrzepiuł go mięsiwem. Kiej starusek przysed do siebie, łokruł go królewic swoim śkarłatnym płascem.

Nie wiedzioł starusek, kim buł ten dobrocyńca, spojrzoł na niego z wdzięcnością i po casie wyjął z zandarza lusterko w cornej łoprawie, wręcuł go królewicowi i rzykł: bierz to lusterko! Łono cie uscęśliwi, to lusterko bedzie ci wiecnie grało rózne melodie nieznane światu, kto usłysy tą muzykę, będzie sie cuł barz scęśliwy, troski łod niego łopadną, nic nie bedzie kcioł w zyciu, ino zdobyć to lusterko. Pamiytej, pamiytej! byś tego lusterka nie sprzedawoł, choćby za górę złota, bo by cię niescęście spotkało! Lusterku trzeba rzyc: grej „Homosko", to lusterko zacnie grać, a kiej włozys do cornej łoprawy, to lusterko przestanie grać.

Ledwo skońcuł dziadek mówić, zamknął swoje powieki i zasnął na wieki.

Wiosną postanowiuł królewic jesce roz udać się do tyj królewny, ale juz nie jako starający się ło jyj rękę, ino jako malorz pokojowy.

Kiej sie znaloz po roz drugi na tym zomku, pyto go król: po coś tu przysed? Łodpedzioł: słysołem, ze jego królewsko mość kce łodnowić swoje komnaty, jo jezdem malorzem nad malorze, co nikt nie potrafi w świecie tak piyknie malować, farby nigdy nie zbledną, wiecnie będą świyze.

Kolor do farb dobiyroł z kwiotków, które rosły w rajskim królewskim łogrodzie, łogród ten buł przed łoknami królewny. Zachodiuł do tego łogrodu rankiem, kiej jesce rosa nie łobeschła.

Idąc do łogrodu broł ze sobą carodziejskie lusterko i niby sie cesoł do niego, za kazdą razą rzykł lusterku: grej „Homosko" i lusterko grało lo królewny.

A ze królewna miała łokna łotwarte, słysząc tą muzykę wyglądała przez łokno i ni mogła sie nadziwić, skąd pochodzi ta muzyka.

Zesła na dół z komnaty i cichutko podesła pod drzewo na jakieś dwa kroki łod malorza, stanęła przy nim i patrzy i patrzy na niego, wydoł się jyj malorz przy tym lusterku takim piyknym, urodziwym młodzieńcem, ze ni mogła łoka spuścić z niego, na zabój się w nim zakochała, prawie ze do łobłędu. W końcu rzece do niego: malorzu, sprzedej mi to lusterko. Łon łogarnął ją wzrokiem i łodrzykł: sprzedać ci nie sprzedom, za darmo dać ci nie dom, ale ci dom. Na to królewna: to powiydz, co chces łode mnie? Dej mi królewno twoje serce, a na zodatek pocałujes mnie teroz siedem razy, na drugi tydzień przy świetle księzyca znowu siedem razy, a trzeci roz ło wschodzie jutrzenki tyz siedem razy.

Po tygodniu malorz cekoł w łogrodzie na królewnę, uśmiechnięty księzycek pocął świycić, niedługo zjawiuła się królewna i bez słowa ucałowała malorza siedem razy i znowu znikła.

Na trzeci tydzień jesce za widoku przysedł malorz do łogrodu, pocął rwać najpiyknijse kwiotecki i z nich usłoł posłanie lo królewny.

Ceko godzinę, dwie, trzy, a królewna nie przychodzi, rozpac go wielko łogarnęła, nie wiedzioł, co pocąć ze sobą, juz, juz mioł się rzucić w głębiny stawu, łobziyro sie po roz łostatni, patrzy w jyj łokna, cy sie w nich świyci, by ją na wieki pozegnać i wtym [illegible] zbliżającą się ku niemu królewnę.

Ubrano buła w bielusieńką sukienkę, wionek na głowie, a we wionku pełno brylantów, co świyciuły, jak gwiozdki na niebie

Podsedł ku ni, wziął ją na ręce i zaniósł do altany na kwieciste posłanie. Wyrzykł do niyj: królewno, ty mos serce cyste, łoddej mi go! Bez słowa sprzeciwu łoddała malorzowi nie ino serce, łoddała mu cało siebie.

Gdy zesła jutrzenka, ucałowała malorza nie siedem razy, ale siedemdziesiąt siedem razy — malorz kce jyj wręcyć lusterko, a łona do niego: zachowaj go przy sobie, jom jest twoja razem z lusterkiem.

Jednego wiecora, kiedy corne chmury łogarnęły zomek, ze trudno dojrzoł jeden drugiego, pierony zacęły bić, az sie ziemia trzęsła, zesła królewna z komnaty do łogrodu, wzięła malorza za rękę i potajemną furtką wysła z nim poza łobręb zabudowań zamkowych.

Po jakimś casie dośli do jakiś gospody, co stoła przy gościńcu juz w kraju królewica. Zased łon do środka, a królewna cekała na polu, co tam godoł malorz z tym włościcielem gospody, tego nie słysała, dość, ze rano, kiej sie łobudziuła, to z przerazeniem dostrzegła, ze łostała łokradziono z kostowności, jakie miała ze sobą, nie buło śkarłatnego płascyka, nie buło sukienki, nie buło pantofelek ło złotym łopcasiku, łostała jeno w kosulinie, którą miała na sobie.

To wszyćko sie stało w porozumieniu z królewicem — malorzem, łon to kozoł włościcielowi gospody pochować te rzecy, a na domior kozoł ją zwyzwać i łokryć ją później w najgorse smaty.

Rys. L. Inglot

Włościciel gospody przyniósł królewnie starą, połataną, zgnojoną i łosmarkaną spódnicę, ze az nieprzyjemnie buło ją wziąść do ręki, ło samo jakąś bluscynę, ubrała to na siebie i pośli.

Kiej uśli kawoł drogi, rzece malorz: jeść mi sie kce, a łona wiys co? Jo pódę po prośbie łod domu do domu, ty zacekej na mnie za wsią, przyniesę ci coś do jedzenia co dostanę z łaski łod ludzi.

Idzie łod domu do domu, jedni dali porę zimnioków, drudzy placka łowsianego, inni znów wzgardą i drwinami ją łobdarzyli, ale tyz natrafiuła na wesele, gdzie dostała placka ze syrem i kawołecek kiełbasy.

Na drugi dzień malorz mówi do niyj:

— Dziś jo bede chodziuł po prośbie, a ty zacekaj na mnie za wsią.

Malorz miół ukryte piyniądze, tyz zasedł do sklepu, nakupiuł bułek, kiełbasy, cukierków, som se pojodł dobrze i wiecorem spotkoł się z nią.

Wejrzała na niego z lubością i mówi:

— Tyś mioł lepse scęście łode mnie!

Tak to ło zebranym chlebie po kilku dniach dośli do stolicy królewica, ulokuwoł ją u jakiegoś stroza, mówiąc do niyj:

— Ty tu łostoń, jo zaś gdzieś pójdę pobiylić jaką izbinę, to ci przyniesę coś piyniędzy.

Posedł, ale nie biylić, ino do zomku królewskiego, zdoł tam sprawę łojcom, najod sie dobrze i wiecorem wruciuł w łachmanach łochlapany wopnem. Uciesyła się królewna, zo doł jyj porę centów, pyto go, co bedzie robiuła dali?

— Nie namowiom cie, ale kiebyś kciała, dowiedziołem się, ze jedna kobiycina, co cyściuła buty pod kościołem, zmarła. Moglaoyś jyj miejsce zająć.

— Dobrze, nie bede sie pracy wstydziuła, pójdę!

W niedzielę rano zajyzdzo królewsko karoco pod kościuł, wysiado król, królowo i królewic, który byl tak zamaskowany, ze nikt go nie poznoł. Podchodzą do królewny i król mówi:

— Wycyść mi buty!

Po wycysceniu doł jyj pięć talarów, po królu podesła królowo, to samo, dała jyj pięć talarów, a na końcu podsed królewic, któremu tyz łopucowała buty, doł jyj dziesięć talarów. Scęśliwo buła, ze tyle zarobiuła, ni mogła sie docekać, kiedy przydzie malorz, by mu łoddać zarobione piyniądze.

Przysed, łona do niego:

— Ni mos pojęcia, jak jo sie ciesę, jako jo scęśliwo, zem az tyla zarobiuła, mos wszyćkie piyniądze i pomyśl, co za nie kupić?

— Juz wiem — łodpedzioł malorz — widzis, co poniedziałek łodbywo się w tym grodzie jarmark, pódziemy do gorncorza, nakupimy gorcków glinianych i bedzies na rynku sprzedawała, bedzies kupcową, zawse to lepi niz cyścić buty.

Jak pedzioł, tak ucynił, zniósł gorcki na rynek, porozkładoł kazdy z łosobna, usadziuł królewnę przy tyk gorckach a som posed niby biylić, ale zamiost biylić, posed do chorązego kawaleryji i rozkozoł mu, by wjechoł z końmi na rynek i tyj młodej przekupce porozbijali wszyćkie gorcki, bodej ino jyj sie nie dotknąć, ani tyz nie łobrazić, choćby łona przeklinała. Tak sie tyz stało, z gorcków jeno skorupy łostały, barz buła zmartwiono, na to nadsed malorz i pyto grzecnie:

— O co ty płaces?

— Widzis, mój kochany, juz, juz zblizali sie ludzie, co kcieli kupować gorcki i w tym casie przyjechali wojoki na koniach i potłukli mi wszyćkie gorcki, nic nie łostało, jeno same skorupy.

— Nic sie nie mortw, tyleśmy juz przezyli, to jakoś i dali zyć bedziemy, jesce w zyciu bedzies scęśliwo. Dowiedziołem się dziś z rana łod tego człowieka, któremu biylulem izbę, ze na zamku królewskim potrzebują młody, zgrabny podkuchenny, znom jo tego kuchmistrza, dom ci kartkę do niego, kiej zajdzies na zomek, pokozes tą kartkę wartownikowi, zacekos i łon ju resztę załatwi.

Posła, przyjęli ją z miejsca, co jyj kuchorz rozkozoł, wszyćko skrzętnie wykonała, kozoł jej myć ustępy, muła wyciyrała, kieby ino nie cuc byłu smrodu, podłoga az sie świyciuła, gorcki cyściutko łobmywała, a zawse myślała ło swoim malorzu, kiej go ujrzy, cy nie głodny, cy sie mu co złego nie stało? Wzięła nawet gliniany kwórciany gorcek, nakładła do niego gulasiu, wlała sporo sosu i przywiązała gorcek snurkiem pod fartuchem, kieby przyniyść malorzowi na wiecerzę. Kiej już wszyćko porobiuła, prosi kucharza, cy by ją nie puściuł już do domu, ledwo kuchorz rzyk: „Mozes juz iść", a do kuchni wchodzi som królewic łodświętnie ubrany łobziyro sie dołokoła, a kiej ujrzoł świyze przyjęta podkuchennę, podchodzi ku ni i mówi:

— Dziś na zomku jest wielko urocystość, poddani moi powinni spełniać moją wolę, zyceniem moim jest zatańcyć sobie z tobą, podkuchenno, któroś z rana łostała przyjęto do roboty.

Zbladła królewna, poznała królewica, przypomniała sobie jak nim pogardziuła, wykręco sie, jak moze, ze nie umiy tańcyć, ze sie cuje słabowita, ze nie jest godną tego, by z królewicem tońcyła, ale to wszyćko nic nie pomogło, wziął pod rękę i zaprowadziuł do salonu.

Muzyka pocęła grać, wszyscy zacęli tańcyć, źle, dobrze i łona musiała się rusyć z miejsca. Tańcy, ale źle jyj buło, bo gorcek pod fartuchem łobijoł się jyj ło kolana, w końcu urwoł się snurek i gorcek bęc na podłogę, rozstrzaskał się na drobniutkie kawołecki. Królewna zemdlała.

Łykarze rychło ją łocudzili, przysła do przytomności, pokojówki zaprowadziuły ją do łazienki, wykąpały, natarły wonnymi łolejkami, po cym ubrały w ślubne saty.

Z uśmiechem podsed do ni malorz — królewic, wziął ją pod rękę i zaprowadziuł przed łołtorz świątyni zomkowej, przy którym związoł ją ksiądz — z królewicem ślubnym pierścieniem.

Po ślubie wyjął królewic z kieseni carodziejskie lusterko i rzyk do niego: grej „Homosko". Pocęła grać muzyka piykni, nizeli królewsko łorkiestra, przez siedem dni goście jedli, pili i tańcyli.

Jo tyz bułem na tym weselu, słysołem, jak łon, to jest królewic, po ślubie podzioł do swojj zony:

Duma do ponizenia
zawiedło cie zonecko,
znikły juz twe ciyrpienia
bo ci błysło słonecko *.

* Tę baśń opowiedział mi mój ojciec ponad 60 lat temu. (Skróty redakcyjne).

Autonomiczny dodatek „Ziemia i Pieśń" pod redakcją dr. Romana Rosiaka.

Pegaz chodzi do liceum

Krzysztof Janicki

DOSZŁO do rozstrzygnięcia literackiego konkursu dla szkół. Na dwudniowej uroczystości w Lublinie i Nałęczowie odczytano listę laureatów, rozdano nagrody, posłuchano recytacji i występów muzycznych, zaprojektowano zarys przyszłego międzyszkolnego klubu literackiego.

Potrzebne, pożyteczne, celowe. Z wyników konkursu (około półtora setki uczestników) wnosić wypada, że zrealizował on uprzednio już istniejące w tym środowisku zapotrzebowanie na jakąś formę zbiorowego kontaktu, a może nawet przedsięwzięcia natury organizacyjnej, że w wielu wypadkach ujawnił pokątne pisarstwo młodych. Jeśli samogon otrzymał licencję, a ta z kolei wpłynie na wyższą rektyfikację produktu, impreza zdała egzamin na piątkę z plusem.

Tematem, wokół którego koncentrowała się dyskusja była szkoła i jej możliwość oddziaływania na zainteresowanie współczesną poezją. Temat jest bardzo aktualny, tak przynajmniej wynika z wypowiedzi znawców poczuwających się do odpowiedzialności za przyszły los kultury literackiej w Polsce. Jak się ma nauczanie historii literatury i języka polskiego do przejawów współczesnego pisarstwa, w jakim stopniu polonista może wpłynąć na spopularyzowanie nie tylko Tetmajera i Lenartowicza, ale również Brylla i Szymborskiej, co przedsięwziąć dla obudzenia czynnego zainteresowania poezją wśród lokatorów ławy szkolnej? Mówi się o tym i pisze, rzecz więc domaga się rekonesansu, a impreza lubelska dorzuciła w tym temacie co nieco danych rzeczowych, więc i w tym jej pożytek.

Niezależnie jednak od tego, kogo tu oklaskiwać, a kogo stawiać pod pręgierz, trzeba stwierdzić jedno: nic tu się nie stanie w trybie automatycznym, inaczej: nie miejmy zbyt wielkich nadziei na możliwość poskutkowania drogą dydaktyczną.

Poetą jest się całkowicie na własną odpowiedzialność, zasób doświadczeń i treści psychicznych niezbędnych do pisania wierszy zdobywa się w trybie indywidualnego kontaktu ze światem.

Dlatego owszem, optujmy za udzieleniem pomocy w zyskiwaniu orientacji co do zagadnień fenomenów i specyfiki współczesnej poezji wśród uczniów klas licealnych, natomiast nie ma potrzeby załamywania rąk w wypadku, kiedy nauczyciel na ten temat zajęć dydaktycznych nie prowadzi.

Znacznie więc realniej jest oczekiwać od polonisty poczynań organizatorskich, np przez grupowanie uczniów zdradzających zainteresowania literackie, przez powodowanie rozmów i wzajemnej prezentacji tekstów, przez uprzystępnianie i wskazywanie istniejących publikacji, aniżeli spodziewać się, że polonista podejmie czynność popularyzacji poezji w charakterze dyscypliny szkolnej. Zawrzyjmy małą umowę: temat „poezja w szkole" rozumiemy jako temat „poezja wśród uczniów".

Wygląda na to, jakby tych kilka słów zostało napisanych z pozycji za wszelką cenę podjętej obrony szkoły. Młodzi, kochani ludzie — z pozycji obrony swobodnego rozwoju zainteresowań! Przecież szkoła nawet najbardziej drętwa, najbardziej niewrażliwa (zróbmy takie teoretyczne założenie) nie jest w stanie przeciwdziałać temu, co rośnie w świadomości, opanowuje umysł, domaga się wyrazu.

Zresztą — „młodości, ty nad poziomy". Jest ważne przede wszystkim to, co sami młodzi o sobie zadecydują, na co się zamierzą, czego będą od siebie wymagać. I jaką będzie to dla nich linią startową w przyszłość. Szkoła średnia rok, dwa jeszcze zatrzyma ich w swoich murach. Potem czekają samodzielne próby znalezienia się na grzbiecie tego skrzydlatego i narowistego zwierzęcia, którego wizerunek z większym rozmachem aniżeli precyzją został wykonany w konferencyjnej sali Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie.

Fot. J. Mendychowski

KTO ZWYCIĘŻYŁ?

Rozstrzygnięty został konkurs literacki dla młodzieży szkół średnich, zorganizowany przez WDK w Lublinie przy współpracy Kuratorium Okręgu Szkolnego, Komendy Chorągwi ZHP, redakcji: „Nowego Wyrazu", „Poezji" „Kameny" i „Sztandaru Ludu". Jury w składzie: Marek Adam Jaworski, Janusz Maciejewski (przewodniczący), Waldemar Michalski, Tadeusz Mocarski, Krzysztof Nowicki, Andrzej Paluchowski i Jan Witan przyznało następujące nagrody:

W dziale poezji — I nagroda — **Bogusław Wróblewski** (III Liceum Ogólnokształcące w Lublinie), II — **Henryk Radej** (Liceum Ogólnokształcące w Turobinie), III — **Jerzy Misiec** (I Liceum Ogólnokształcące w Chełmie), i **Krzysztof Konopa** (Liceum Ogólnokształcące w Zamościu); wyróżnienia I stopnia — **Waldemar Dras** (Lublin), **Wiesław Kołabun** (Chełm), **Grzegorz Miliszkiewicz** (Lublin), **Tamara Pasławska** (Lublin), **Stefan Szacilowski** (Lublin), **Andrzej Szafran** (Lublin), wyróżnienia II stopnia — **Zbigniew Charytonowicz** (Puławy), **Andrzej Mirosław** (Lublin).

W dziale prozy — I nagroda — **Krzysztof Paczuski** (V Liceum Ogólnokształcące w Lublinie), II — **Sylwester Domański** (VII Liceum Ogólnokształcące w Lublinie); wyróżnienie I stopnia: **Jerzy Misiec** (Chełm); wyróżnienia II stopnia: **Tomasz Chmielik** (Świdnik), **Iwona Mirońska** (Kraśnik), **Małgorzata Lipska** (Janów Lubelski).

Ogółem na konkurs wpłynęło 147 zestawów tekstów poezji i prozy.

POD PARAGRAFEM

Jurodiwa

NA ogół praktyczniej jest martwić się o żywych, bo można im jeszcze pomóc. A istnieje w tym przypadku powód do zmartwienia, gdyż górne zagrożenie dla zbrodni, którą popełnił ten 23-letni chłopak — to kara śmierci. Życie za życie. Ale mnie on tak bardzo nie interesuje, choć sytuacja jego niełatwa. Zwyczajny wiejski osiłek — bykowaty blondyn. Traktorzysta zatrudniony w kółku rolniczym. Syn zamożnych gospodarzy. „Mnie przecież ludzie we wsi znają, byłem pracowity, na haziaja zasuwałem już od dziesięciu lat" — wystawia sobie opinię moralności. Przeciętny był, żaden chuligan, wódki pił tyle co inni, nie za dużo, nie za mało, raczej od święta, na zabawie.

Przychodzi mi ochota uczynić bohaterką tej opowieści jego rówieśniczkę, przygłupią wiejską dziewczynę, która już nie żyje. Do szkoły podstawowej chodzili razem, ale ona skończyła tylko 5 klas, nie nadawała się do dalszej nauki. Utrapienie dla rodziców, bo kto się z taką ożeni? Nadawała się tylko do najprostszych gospodarskich czynności — krowy pasła u ojców. Podobno bardzo lubiła kino. Wtedy — latem 1970 roku — poszła na film „Winnetou" do miejscowej świetlicy, a po projekcji została, bo miała się jeszcze odbyć zabawa. Została, żeby się przyglądać, gdyż i tak nikt nigdy z nią nie tańczył.

Na zabawie widziano, jak Sławomir pił wódkę w bufecie, tańczył z innymi dziewczynami, z Zuzanną — nie. Ale około północy, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, wyszedł za nią, towarzyszył jej w drodze do domu. „W pewnym momencie objął Zuzannę ręką za szyję i pociągnął za sobą najpierw na pobocze, a następnie na łąkę. Tam podstawił jej nogę i lekko ją popchnął. Na skutek pchnięcia Zuzanna upadła plecami na trawę. Wówczas Sławomir odbył z nią stosunek płciowy" — tak to wydarzenie sprzed trzech lat przedstawia obecnie akt oskarżenia.

Początkowo zataiła przed rodzicami, co jej się przydarzyło, bo też i nie za bardzo się w tym orientowała. Ale kiedy ciąża była już zaawansowana, Zuzanna musiała powiedzieć rodzicom, jak było. Rozpoczęte wówczas przeciwko Sławomirowi dochodzenie o gwałt zostało umorzone z braku dostatecznych dowodów winy. Po urodzeniu dziecka sąd ustalił ojcostwo Sławomira i przyznał Zuzannie 400 zł alimentów miesięcznie, które trzeba było ściągać poprzez komornika, bo Sławomir do gwałtu ani do ojcostwa nie przyznawał się — ani wtedy, ani obecnie.

Nie zamierzał się z nią żenić. „Są przecież ludzie durne, ale takie, jak to było, to ja jeszcze nie widziałem. Tak jakoś dziwnie na widok ludzi wykrzywiała gębę. A ja, wiadomo, z wariatką się miałem żenić czy co?" — powiada teraz. Ale wieś nie chciała wybaczyć tej sprawy Sławomirowi. Żeby jeszcze to było z normalną dziewczyną, ale z taką? Wieś nazywała go „dzieciorobem", w kółku rolniczym pokrzykiwali za nim — „Antek Boryna", bo akurat serial reymontowski szedł w telewizji, a wieś była zelektryfikowana, nowoczesna i ludzie po chałupach odbiorniki mieli.

I Sławomir zaczął nienawidzić Zuzannę, że go na taki wstyd naraziła. Sąsiedzi widzieli, jak ją bił przy lada okazji kopał w brzuch, kiedy w ciąży była. I tak to trwało, aż do tragicznego finału 29 czerwca 1973 roku. Aż do święta „Piotra i Pawła", które wprawdzie nie jest żadnym świętem państwowym, ani uznawanym oficjalnie świętem kościelnym, lecz wieś je obchodzi.

Rano o 6.00 Zuzanna, ubrana w spodnie, spodnice, czarny golf i męską marynarkę, poszła wygonić krowy pod las zwany „Kisielnik". Matce na odchodnym powiedziała, że po zapalowaniu krów pójdzie zbierać dziurawiec i szałwię na lekarstwo dla swej chorej córki. I poszła. Około 7.00 Sławomir jechał przez las „Kisielnik" na starym rowerze — udawał się do pracy w kółku rolniczym. W lesie przystanął, gdyż zachciało mu się na stronę. Zostawił rower przy drodze i wszedł między drzewa. Wtedy właśnie zobaczył Zuzannę z pęczkiem kwitnącej szałwi w ręku. Zawołał, zatrzymała się. Podszedł, uderzył w pierś, upadła na paprocie...

„Teraz żałuję, że ją zadusiłem, oj źle, źle" — przyznał się w końcu u prokuratora. Więc udusił ją wśród tych paproci, odciągnął ciało w głąb lasu, za zwłokami rzucił granatową tenisówkę, która spadła z nogi dziewczyny, za tenisówką rzucił pęczek kwitnącej czerwono szałwi, którą Zuzanna zbierała dla ich 2-letniej córki. Potem wsiadł na rower i pojechał do pracy w kółku rolniczym, a że było święto, wypił z kumplami transporter piwa, z sołtysem zaś dwie butelki wina. „Piłem wtedy wino, wódkę, piwo, wszystko, bo było święto" — powiada. Około 17.00 wracał do domu, na moście zatrzymał się, pogadał ze znajomymi, za mostem skręcił do lasu na tak zwaną „Cygańską drogę". Może pojechał jeszcze raz obejrzeć zwłoki Zuzanny? Choć przecież nie miał wątpliwości, że ona nie żyje. „Trzymałem ją, aż przestała dyszeć, a później to już była gotowa" — tak twierdzi.

I taka jest historia krótkiego żywota przygłupiej wiejskiej dziewczyny, miejscowej jurodiwej, której Sławomir nie chciał wybaczyć, gdyż wieś nie chciała wybaczyć Sławomirowi, że się z wariatką zadał i dziecko jej zrobił. Bo wariatka to nie jest człowiek. Wariatka to jest wariatka. „Nieprawdą jest, żeby syn mój zgwałcił Zuzannę i że miał z nią dziecko. On nie należy do chłopców tego rodzaju" — powiada ojciec Sławomira. Bo zabić wariatkę — nie wstyd. Żyć z wariatką — wstyd wielki.

POM

kultura 1973

Zmarli

● 81-letni wybitny pisarz i poeta egipski, niewidomy Taha Hussein. Jest autorem 78 książek, jego debiut w 1929 r. to „Al-Ayam" („Dni"). Wybitny działacz walki z analfabetyzmem w swojej ojczyźnie.

Literatura

● Nagrody ministra Obrony Narodowej I stopnia otrzymali: gen. broni Jerzy Bordziłowski za książkę „Żołnierska droga", Zbigniew Flisowski za „Pomorze — reportaż z pola walk" oraz Alojzy Sroga za „Lenino — początek drogi".

● W ramach ukazującej się od kilku lat „Biblioteki poetów" w roku przyszłym ukażą się utwory: B. Drozdowskiego, T. Lenartowicza, M. Romanowskiego, F. Schillera, E. Szymańskiego, J. Sztaudyngera, J. Brzostowskiej, St. Flukowskiego, J. Lechonia, E. Lea Mastersa, Owidiusza i Al. Twardowskiego. Roczną prenumeratę (120 zł) przyjmuje Księgarnia Wysyłkowa w Warszawie, ul. Nowolipie 4.

● 20 listopada minęła 80 rocznica urodzin Marii Jasnorzewskiej — Pawlikowskiej, jednej z najwybitniejszych poetek polskich, zmarłej w Manchesterze w 1945 r.

● Miejska Biblioteka Publiczna i ZLP zorganizowały w Łodzi sympozjum, poświęcone pamięci Jana Sztaudyngera (1904—1970).

● Listopadowy numer miesięcznika „Inostrannaja Litieratura" przyniósł obszerne wypowiedzi Wisławy Szymborskiej i Kornela Filipowicza o ich własnej twórczości i życiu literackim Polski, 5 opowiadań krakowskiego pisarza Leszka Maruty i wiele innych informacji z naszego kraju. Pierwsza strona to reprodukcja plakatu Gustawa Majewskiego.

● W Norwegii ukazał się tom pt. „Opowieści petersburskie", zawierający publikowane po raz pierwszy w tym kraju nowele Mikołaja Gogola.

● W mieszkaniu przy Corso 18 w Rzymie, gdzie przez dwa lata mieszkał Goethe, powstało jego muzeum biograficzne. Podobne muzea istnieją już w Wiedniu i Frankfurcie. Przypomnijmy, że Goethe powiedział kiedyś: „Tylko w Rzymie odczuwałem, czym właściwie jest człowiek".

● Nagrodę artystyczną Norymbergi otrzymał jeden z wybitniejszych pisarzy zachodnioniemieckich, robotnik Max von der Grün.

Teatr

● Seweryna Broniszówna obchodzi niezwykły jubileusz: 60 lat występów na scenie jednego teatru, Teatru Polskiego w Warszawie. W ogóle na scenie występuje już 63 lata.

● Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach wystawił prapremierę polską sztuki Wiktora Rozowa „Sytuacja". Akcja rozgrywa się w środowisku robotniczym.

● Muzeum Teatralne w Warszawie eksponuje niezmiernie interesującą wystawę „Teatr Kopernikowi", poświęconą tematyce kopernikowskiej w historii teatru polskiego, poczynając od XVI-wiecznej komedii Gnapheusa z Elbląga, wyszydzającej uczonego.

● Grudziądzki Teatr Ziemi Pomorskiej z okazji każdej premiery urządza w foyer wystawę plastyczną jednego z miejscowych artystów.

● W roku przyszłym w Teatrze Polskiego Radia odbędzie się przegląd najwybitniejszych osiągnięć polskiej powojennej dramaturgii radiowej.

● Państwowy Teatr Głuchego Aktora w USA rozpoczął siódmy sezon premierą „Kandyda" Woltera. Zespół składa się z dziesięciu aktorów niesłyszących i trzech słyszących. Jest to teatr objazdowy, który ponadto występował w 20 innych krajach.

● W dziesięcioleciu objęcia kierownictwa artystycznego londyńskiego Old Vic, i w przeddzień odejścia stamtąd, Laurence Olivier wystawił sztukę Eduardo de Filippo „Sobota, niedziela, poniedziałek".

Sztuka

● 96 obrazów można oglądać w warszawskim Muzeum Narodowym na wystawie „Rosyjski realizm krytyczny 1850—1900".

● W Olsztynie czynna była wystawa współczesnej plastyki z Leningradu.

● W poznańskim Arsenale eksponowano prace młodych plastyków, którzy ukończyli studia w ciągu ostatnich 4 lat.

● W Bydgoszczy odbył się ogólnopolski plener rzeźbiarski z udziałem 14 artystów z czterech miast. Po rozdzieleniu nagród w wysokości 400 tys. zł wszystkie prace stały się własnością miasta.

● Wytwórnia Urządzeń Chłodniczych w Dębicy urządziła plenery dla studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. 15 najlepszych prac malarskich i rzeźbiarskich ozdobiło wnętrza fabryki.

● W salach paryskiego Instytutu Ochrony Środowiska, podległego Ministerstwu Kultury Francji, otwarto wielką wystawę grafiki polskiej.

● W centralnym Muzeum Lenina w Moskwie otwarto wystawę rzeźb Nikołaja Andrejewa, ukazujących postać wielkiego przywódcy rewolucji. Ekspozycję zorganizowano w setną rocznicę urodzin rzeźbiarza; zawiera ona także rysunki i szkice Lenina „z natury" wykonane w latach 1919—1920.

Muzyka

● Na międzynarodowy konkurs kompozytorski na utwór organowy, którego prawykonanie odbędzie się w przyszłym roku w rocznicę wyzwolenia Szczecina, nadesłano 24 utwory. Pierwszej nagrody nie przyznano, dwie drugie otrzymali: Laszlo Dubrovay (Węgry) i Christfried Schmidt (NRD), dwie trzecie Józef Rychlik i Krzysztof Baculewski z Polski.

● Na scenie kameralnej warszawskiego Teatru Wielkiego odbyła się premiera opery Haydna „Świat na księżycu" w gościnnej reżyserii Ulricha Baumgartnera z Wiednia. Teatr czci tą operą 500 rocznicę urodzin Kopernika. Dyrektor Wiener Volksoper, Otto Fritz, wyreżyseruje na tej samej scenie „Tannhäusera" Wagnera.

● W rozpoczynającym się sezonie muzycznym Filharmonia Pomorska im. I. Paderewskiego w Bydgoszczy w serii koncertów przedstawi wszystkie najwybitniejsze pozycje muzyczne trzydziestolecia PRL.

● W dwóch koncertach na rzecz odbudowy Pomnika Grunwaldzkiego wystąpił w Krakowie Ryszard Gruszczyński. Koncert prowadził prof. W. Żin.

● Kompozytor i dyrygent Wincenty Łutosławski prowadził swoje koncerty w Amsterdamie i Hadze.

● W Taszkiencie odbyła się dekada polskiej płyty z nagraniami muzyki symfonicznej, kameralnej i rozrywkowej.

● Akademia Muzyczna w Budapeszcie w lutym i w marcu w związku z XXX-leciem PRL i rocznicą urodzin Chopina zorganizuje sześć wieczorów, poświęconych wyłącznie muzyce naszego kompozytora.

● Mediolańska La Scala rozpoczyna nowy sezon 7 grudnia spektaklem „Włoszki w Algierze" Rossiniego. W maju przyszłego roku zespół udaje się z rewizytą do Moskwy, gdzie przedstawi pięć swoich inscenizacji.

Film i telewizja

● Władysław Krasnowiecki za całokształt twórczości oraz Ryszard Filipski za rolę w filmie „Hubal" otrzymali nagrody I stopnia ministra Obrony Narodowej.

● Film Zanussiego „Iluminacja" zaliczono do najciekawszych pozycji tegorocznego, szesnastego z kolei festiwalu filmowego w Nowym Jorku. Tygodnik „Time" napisał, że całą imprezę warto było organizować dla tego jednego filmu, trudnego w odbiorze ale o wysokich walorach artystycznych i ciekawej kompozycji.

● W Poznaniu zakończyło się czterodniowe seminarium o filmie fabularnym o tematyce politycznej, zorganizowane przez Federację Dyskusyjnych Klubów Filmowych.

● Grudniowy numer francuskiego magazynu „Vogue" będzie w całości poświęcony Marlenie Dietrich. Projekt i wykonanie — Marlena Dietrich. Jej wynagrodzenie — 50 tys. franków.

● Nauczyciele japońscy twierdzą, że z powodu nadmiaru dostarczanych informacji telewizja działa szkodliwie na umysł dziecka. Drugim z kolei szkodnikiem nazwali komiksy.

Różne

● W Katowicach otwarto ogólnopolską wystawę wydawnictw społeczno-politycznych RSW „Prasa — Książka — Ruch".

● W 140-tysięcznym Matanzas, stolicy prowincji o tej samej nazwie na Kubie, pod koniec października odbył się tydzień kultury polskiej.

● Na gmachu Teatru im. Mikołajowskiego w Moskwie umieszczono tablicę pamiątkową ku czci znakomitego aktora i reżysera Mikołaja Ochłopkowa (1899—1971), który szczególnie zasłużył się w popularyzowaniu tematyki współczesnej.

● Dopiero teraz, po 38 latach, ukazała się we Francji prawie 500-stronicowa książka Salvadora Dali „Visages cachés". Malarz podyktował ją na magnetofon w 1943 roku w Nowym Jorku w mieszaninie ojczystego języka hiszpańskiego i francuskiego, których jeszcze dobrze nie znał. Zupełnie o niej zapomniałem — twierdzi Dali.

● Do jednej z prywatnych galerii w śródmieściu Paryża dokonano włamania. Łupem rabusiów padło 28 obrazów pędzla znakomitych malarzy, wartości 30 mln franków. Jest to największa kradzież dzieł sztuki, jakiej dokonano dotychczas w Paryżu.

Lubliniana

● W dniach 21—24 listopada odbyły się przesłuchania ponad 100 uczniów podstawowych i średnich szkół muzycznych w ramach II Festiwalu Młodych Skrzypków, zorganizowanego w Lublinie przez Tow. Muzyczne im. H. Wieniawskiego. Oprócz uczniów polskich zgłosili się młodzi z NRD, Węgier i ZSRR.

● Teatr im. Osterwy prowadzi już sprzedaż abonamentów teatralnych na rok kalendarzowy 1974.

● Tow. Miłośników Lublina ufundowało nagrodę za piosenkę o Lublinie (łącznie dla autorów tekstu i muzyki), prezentowaną na giełdzie piosenki, organizowanej przez Rozgłośnię Lubelską PR. W najbliższych dniach ogłosi ona także konkurs na własny ekslibris.

● Ponad 200 prac nadesłało 28 amatorów na konkurs malarstwa, rzeźby, grafiki i sztuki użytkowej, ogłoszony przez WZSP w Lublinie. Pierwszą nagrodę otrzymał Bogdan Gliwiński (malarstwo), drugą Janusz Łopucki (rzeźba).

noty i notki

Z dokładnością informacji i lojalnością wobec tych, których ona dotyczy, jest już lepiej, ale dobrze to jeszcze nie. „Trybuna Ludu" (nr 318) przyniosła wiadomość o dekoracji pracowników klubów MPiK odznaczeniami państwowymi i innymi. Na 79 osób odznaczonych dziennik wymienił wszystkiego dwa nazwiska — co już oznacza pewien postęp — natomiast z nazwiska i funkcji wymieniono cztery osoby odznaczające i dwie „obecne". Natomiast „Życie Warszawy" z tego samego dnia informując o tej samej uroczystości, pozostawiło oba nazwiska odznaczonych — nie wymieniło natomiast żadnego z odznaczających i obecnych. No i nikomu korona z głowy nie spadła.

●

Na pytanie, czy telewizor lub radio są meblem, prawie każdy odpowie zdecydowanie — nie. Zresztą w sklepach meblarskich tych aparatów też się nie sprzedaje. Tymczasem Warszawskie Fabryki Mebli — jak się z okazji 25-lecia tego przedsiębiorstwa można było dowiedzieć — produkują nie meble, ale około 700 tys. skrzynek do telewizorów i radioaparatów rocznie. To mniej więcej tak, jakby lubelska FSC zamiast „Żuków" robiła hulajnogi, a świdnicka WSK — szczudła. Jedne i drugie bowiem na upartego też można nazwać środkami komunikacji.

●

Pocieszająca wiadomość w pierwszym akapicie przyniósł „Express Wieczorny" (nr 273). Informując o potrzebach hotelowych „Orbisu", dziennik twierdzi: „Naprzeciw tym dążeniom wyszedł resort budownictwa, oferując budowę w ciągu zaledwie 14 miesięcy hoteli z wielkich płyt". A zaraz w drugim akapicie: „Pierwszym tego typu hotelem jest wznoszony w Poznaniu „Polonez". W czerwcu przyszłego roku przyjmie on — po 21 miesiącach budowy...". Według mnie gdzieś zgubiło się siedem miesięcy, czyli równo połowa obiecanego terminu, ale widocznie resort budownictwa i „Express" liczą według własnych kalendarzy.

●

Zofia Bystrzycka tak odpowiada pewnemu młodemu czytelnikowi „Zwierciadła" (nr 46), który martwi się, że w czasie gdy był chory jego dziewczyna nie przyszła go pocieszać w jego pokoju: „Pogadajcie raz i drugi, nie patrząc na zegarek. Zapewniam Pana, że to jeden z atrakcyjniejszych sposobów spędzania czasu we dwoje". No, no — Pani Zofio — czy Pani rzeczywiście nie zna atrakcyjniejszego spędzania czasu we dwoje, zwłaszcza w męskim pokoju?

●

Od kilku lat, jadąc do lub wracając z Warszawy, zaopatrywałem się w kiełbasę parówkową w stoisku spożywczym domu towarowego w Kurowie. Ale po ostatnich wakacjach przestałem. Z tego prostego powodu, że po naciśnięciu kiełbasy nożem wytryska z niej fontanna wody, w której pływają kawałki czegoś, co niegdyś było mięsem. Dyrektorowi lubelskiego PIH-u w czasie wyjazdu służbowego do Warszawy lub Puław proponuję zakup kawałka owej rzekomej kiełbasy, bo chyba 40 zł za kilogram wody to jednak zbyt drogo.

●

Rozumiem, że wiele kobiet robi wszystko, aby możliwie najszybciej wyjść za mąż. Ale dlaczego tak bardzo spieszy się niektórym mężczyznom? W „Kurierze Polskim" (nr 269) na osiem „męskich" ogłoszeń matrymonialnych aż w czterech można było przeczytać, że poszukiwane są panie „zdecydowane na szybkie małżeństwo". Natomiast piąty, jakiś czterdziestolatek, zapewniał przyszłą wybrankę: „Utrzymanie zapewnione". Wzruszająca hojność i szczerość.

●

Raz jeszcze wszczynam alarm na rzecz równouprawnienia mężczyzn. A oto w czym rzecz. Gońcem w biurze może być chłopak lub dziewczyna. Każde z nich może uczyć się zaocznie. Dziewczyna w jakim chce liceum, lub na uczelni, natomiast chłopak — według przepisów — tylko zgodnie z rodzajem wykonywanej pracy. Chłopak więc nie może uczyć się np. ekonomii, fizyki czy filologii polskiej, natomiast może się zapisać chyba tylko do AWF i to na wydział szkolący szybkobiegaczy.

●

Felietony Jerzego Urbana-Kibica w „Kulisach" są chętnie czytane, chociaż wydaje się, że wiele, zbyt wiele tzw. realiów jest po prostu wymyślonych przez autora. Świadczą o tym gaffy, jakie Kibic od czasu do czasu popełnia. Tak np. w felietonie „General" (nr. 45) twierdzi on, że niejaki Gustaw M. „przekładał tory tramwajowe w Warszawie", a kilka wierszy dalej pisze o nim jako o „przekładaczu torów". Tymczasem chodzi o zwykłego przekładacza szyn, przez co życiorys Gustawa M. znacznie się zubożył.

JOD

●

Szczecińskie „Spojrzenia" w rubryce „Klasówka z polskiego" piętnują błędy językowe spotykane w publikacjach. W numerze listopadowym czytamy: „Następnym wyrazem, jaki znalazłem w tym samym dzienniku, był „angaż". Cóż znaczy to paskustwo?". Wprawdzie nazwa dziennika nie została ujawniona, ale co do „paskustwa" radzę profesorowi prowadzącemu klasówkę spojrzenie do słownika. Disce magister.

MZ

ekran i widz

Koniec świata kowbojów

Po Indianinach przyszła kolej na kowbojów — coraz mniej dla nich miejsca we współczesnym społeczeństwie amerykańskim, a ci, którzy zdołali jeszcze przetrwać, albo giną w nierównej, beznadziejnej walce o rację istnienia, albo degenerują się. Mowa, oczywiście, o kowbojach z kinowego ekranu; prawdziwi kowboje już dawno przesiedli się ochoczo z długogrzywych mustangów na samochody marki Ford-Mustang, a groźne, sześciostrzałowe bębenkowce zawiesili na stałe w domowym muzeum.

Inaczej — jak się rzekło — sprawa wygląda z kowbojami z filmowych hal produkcyjnych. Kiedy wizerunek szlachetnego Toma Mixa zaczął już u widza budzić tylko uśmiech politowania, gdy zza oblicza nieustraszonego Ringo Kida wychynęła zmęczona, postarzała twarz Johna Wayne, kiedy zatem typ klasycznego westernu z dobrym i złym kowbojem, szlachetnym lekarzem, praworządnym szeryfem i nawróconą prostytutką zaczął coraz częściej kojarzyć się z archiwum sztuki filmowej, kowboje spróbowali określić swoje miejsce w nowym świecie nawet kosztem ustawienia bohatera westernu na straconych pozycjach. Clark Gable w „Skłóconych z życiem" poluje, jak jego poprzednicy, z lassem w dłoni na dzikie mustangi, ale zamiast ujeżdżać, sprzedaje je na mięso do rzeźni. Kirk Douglas w „Ostatnim kowboju" pragnąc do ostatka i na przekór wszystkiemu ocalić godność i niezależność swojego zawodu, ginie przypadkowo, a niechlubnie, wraz z koniem, pod kołami nowoczesnej ciężarówki załadowanej muszlami klozetowymi. I oto wreszcie w „Nocnym kowboju" następuje nieuchronnie ostatni akt kowbojskiego mitu — dotychczasowy bohater prerii zostaje sprowadzony do roli męskiej prostytutki.

Nie jest oczywiście „Nocny kowboj" — jak by można sądzić po tytule — filmem z Dzikiego Zachodu, a reżyser, John Schlesinger, nie specjalizuje się w produkcji westernów. Ten stosunkowo młody, wyrosły ze szkoły społecznego dramatu „młodych gniewnych" brytyjski twórca filmowy, mający na swoim koncie takie dzieła jak „Rodzaj miłości", „Billy kłamca", „Darling" czy „Z dala od zgiełku", penetruje od lat przemiany moralne i obyczajowe zachodzące we współczesnych społeczeństwach zachodnich, ze szczególną uwagą zwracając się ku młodemu pokoleniu. Ale jego ostatni film, rozgrywający się tym razem na gruncie amerykańskim, ukazujący z niezwykłą drapieżnością „podziemny" nurt życia „bogatych i doskonale zorganizowanych" Stanów Zjednoczonych, przekreśla zarazem w sposób zdecydowany ugruntowany w umyśle światowego widza kinowego wizerunek USA, owego kraju milionerów i drapaczy chmur, ekstrawaganckich gwiazd filmowych i krążowników szos. A także — kraj kowbojów, nawet tych sfrustrowanych i skłóconych z życiem.

Nie po raz pierwszy zresztą oglądamy ostatnio na ekranach obraz ojczyzny Waszyngtona, pokazany przez rodzimych młodych reżyserów „od kuchni", obraz kraju targanego sprzecznościami społecznymi i rasowymi, Stanów Zjednoczonych i z ich plagą narkomanii, buntem młodzieży, problemem wojny wietnamskiej, bezlitosną walką o byt prowadzoną na wszystkich szczeblach społecznych. Wystarczy przypomnieć „Narkomanów", „Znikający punkt" czy nawet „Absolwenta".

W tym świecie — wydaje się mówić Schlesinger — nawet strój szlachetnego, wyidealizowanego przedstawiciela amerykańskiej społeczności — kowboja, kryje sylwetkę przeciętnego Amerykanina ogłupionego przez otaczającą go rzeczywistość, przez reklamę, przez polityków, przez środki masowego przekazu. Ileż goryczy w tym filmie: młody pomywacz z Texasu czyniąc wysiłek, aby wyrwać się z szarzyzny otaczającego go życia, przywdziewa strój herosa, żeby tym korzystniej sprzedać swoje wdzięki na nowojorskim bazarze.

„Nocny kowboj" otrzymał w 1969 r. aż trzy „Oscary": za najlepszy film roku, za reżyserię i za scenariusz, a gra Jona Voighta i Dustina Hoffmana stanowi dla widza prawdziwą ucztę duchową. Ale wcale nie zmienia to faktu, że źle się ostatnio dzieje w świecie kowbojów.

(md)

Odpowiedzi redakcji

H.M.L. Brak Pani pewnej niezbędnej cechy: stanowczości. Pozwala Pani, żeby raz osiągnięty ton opadł. Na przykład po wierszu zaczynającym się od słów: „na licytację wystawię kolekcję pomysłów", który zawiera interesujący kontur intelektualny poprzestaje Pani na dość banalnym obrazie wierzb, kojarzonych z muzyką Szopena. Szkoda. Przydałoby się więcej krytycyzmu, bo widać że poetyckie tworzywo w Pani wierszach istnieje, brak mu tylko niezbędnej obróbki.

Z. Z. Olsztyn. Owszem, odpisujemy również listownie, ale to nie znaczy, że ta forma korespondencji łączy się z jakimiś przywilejami. Po prostu stosujemy ją wtedy, gdy odpowiedź zajęłaby zbyt wiele miejsca w druku. Pańskie wiersze właściwie spełniają „warunki drukowalności", jeśli tylko o to idzie, można by je opublikować. Ale czy samemu autorowi zależy na tym, by tylko zmieścić się w szeregu? Nie lepiej spróbować zdobyć się na coś, co zwróci na siebie uwagę w sposób bezsporny? Chyba to drugie. Dlatego radzimy nie kwapić się. Osiągnąć większą mobilizację.

Z. Z. Opatów Kielecki. Nie można powiedzieć, by w pańskich utworach nie znalazło się pewnych brzmień poetyckich, ale ma Pan jednego wroga: gadatliwość. Niefrasobliwość w produkowaniu słów. Więcej kondensacji! Nie wolno dopuścić, by wiersz zamienił się w gawędę. Pańskie słowa przekonują, ma Pan rację. Ale w poezji nie wystarczy ją mieć. Trzeba tą racją zaskoczyć.

K. Z. Puławy. Nie bez przyjemności przeczytałem te wiersze posiadające przede wszystkim jedną zaletę: brak pozy. Zanadto Pan jednak zaufał automatyzmowi nastroju, który — wydaje się Panu — wystarczy żeby był, a spowoduje i uwierzytelni wiersz. Trzeba się zdobyć na wysiłek samemu: pańskie zauroczenie Słowackim ma coś z bierności i z powtarzania. A żartobliwy wierszyk „Sesja trwa" jest nieczytelny dla kogoś nie znającego realiów pańskiego środowiska.

Z. L. Lublin. Proszę Pani, weźmy taki „Monosubiektywizm". W wierszu pisze Pani, że tęskni Pani do ukochanego, a on to uczucie odwzajemnia. Mimo to powstaje powód do udręki, cierpienia, niepokoju. Dlaczego? Przecież nic łatwiejszego niż obustronne pragnienie zrealizować. Ale wtedy nie byłby „wiersza", bo w „wierszu" — uważa Pani — powinny być przede wszystkim łzy, rozpacze westchnienia. I oto najlepszy przykład do jakiego stopnia ulega Pani szablonowi, po to by napisać wiersz, trzeba zadać kłam oczywistości, albo wyhodować w sobie sztuczne uczucia. Tak, niezależnie od rzeczywistej Pani sytuacji życiowej te uczucia są sztuczne, bo nie umotywowane, wyrażone nie od siebie, ale za pomocą maniery.

ABC Szczecin. Może miałoby to wyraz, gdyby napisać prościej. Celowo Pan gmatwa. Te słowa wzajemnie sobie przeszkadzają, nie da się z nich wyłuskać treści.

„Żar". To dopiero bardzo wstępne początki. Niczego jeszcze nie możemy proponować prócz nabycia pewnej umiejętności posługiwania się słowem. Co w pańskim wypadku oznacza — czytać.

J. M. Częstochowa. Widać, że pisanie to pana hobby. To wszystko, co o tych arkuszach można powiedzieć. Ale nie zmieni Pan swego upodobania bez względu na opinię. Uznajemy to — i nie przeszkadzamy.

J. S. Kielce. Niestety, nie mają siły lirycznej takie sformułowania: „rano jem śniadanie / i czytam w gazecie / że mężczyzna / jadł ludzkie mięso / bo chciał przeżyć". Możemy przytaknąć: bywało i tak. Ale cóż z tego? Jako stwierdzenie — banał. Tzw. prowokacji — nie odczuwamy. Wiersz nie ma logiki nawet tej na „anty". Chce Pan zbyt wiele przyjęte związki słów. Dobrze, ale na to miejsce nic nie przychodzi, zostaje kupka gruzu. W poezji nawet dowolność, nawet nonszalancja musi mieć swoją motywację.

E. H. Lublin. Bardzo słusznie Pani robi, że nie zadaje pytania „czy warto pisać?". Na takie pytanie można z góry odpowiedzieć: nie. Jeśli sam autor nie czuje przymusu pisania, jeśli nie jest pewien siebie — swoich pragnień, zamiarów itp. — odpowiedź „tak" może być tylko protezą, która się na nic nie przyda. Co zaś do utworów — wierszy jakoś nie zdołały nas przekonać, ale to chyba świadczy, że swoich zainteresowań nie zwróciła Pani we właściwym kierunku. Czuje się, że jednak coś do powiedzenia ich autorka ma. Więc może wspomniana proza?

L. S. Krępiec. Chcemy od razu powiedzieć: wiersze nie nadają się do druku. To nawet łagodna ocena. Bo nie nadają się do pisania. Popełnił Pan błąd już na wstępie: wchodzi Pan w czytankowe schematy, nawet tych nie potrafiąc zastosować poprawnie. W jednej z satyr Ignacy Krasicki powiada, że pierw niż biegać, trzeba nauczyć się chodzić. Posłuśmy się tym jako odpowiednią. Przepraszamy, jeśli wydała się bezlitosna, ale chyba lepiej od razu powiedzieć prawdę, niż przemilczaniem, czy zdawkową grzecznością doprowadzić do tych większych później rozczarowań.

Szyfrogram literacki (nr 24)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy na miejsce liczb przenieść do diagramu odpowiadające im litery. Pojedyncze czarne kratki oznaczają koniec słowa, a podwójne koniec wiersza. Rozwiązaniem ma być fragment wiersza Biernata z Lublina.

Wyrazy pomocnicze

68, 73, 53, 8 — sposób porozumienia się ludzi

70, 81, 63, 46, 83, 61, 41, 71 — kończy go kran w mieszkaniu

77, 6, 37, 4, 40 — grecki bóg ironii

10, 64, 32, 16, 14, 51, 15 — np. pszczoła lub kształt

23, 5, 19 — okres w historii

74, 54, 36, 38, 75, 55, 3 — korona z kwiatów

56, 30, 59, 65, 32, 69 — sierżant z chorągwi Pana Wołodyjowskiego

28, 25, 35, 78, 7 — biuro władzy

1, 26, 18, 24, 76 — Bałtyk

47, 49, 31, 66, 17 — człowiek kpiący z przyjętych ogólnie zasad.

11, 33, 58, 43, 9, 57, 84 — między wieżami i gońcami

79, 67, 20, 12, 60, 48 — opad atmosferyczny

62, 72, 21, 22 — łodyga kapusty

82, 80, 39, 29 — miasto powiatowe w woj. poznańskim

44, 45, 2, 27, 13, 34, 50, 42 — przeciwstawianie się czemuś.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin).

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

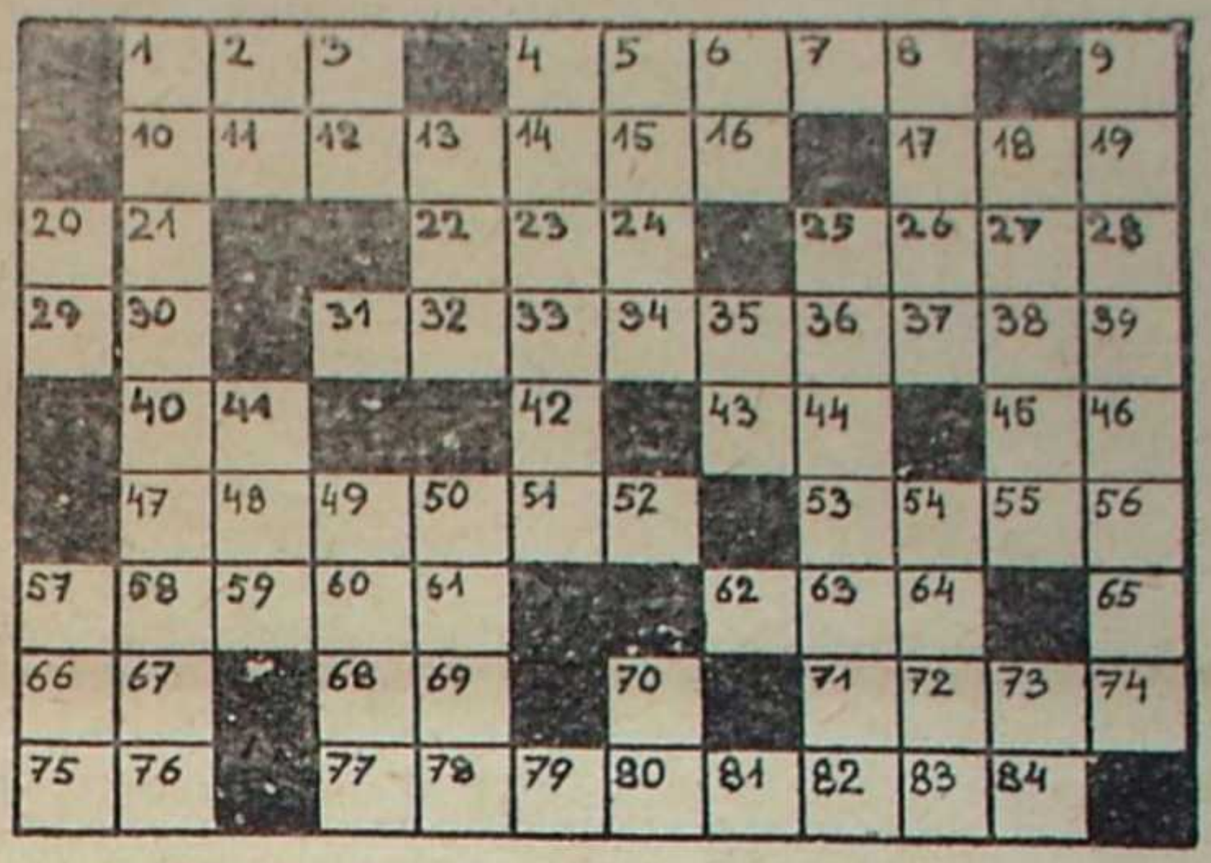

Rozwiązanie krzyżówki nr 22

Poziomo: Szymanowski, Ordon, Andromeda, wiatr, klon, Istebna, Ottawa, azalie, giaur, wrak, zbroja, Doński, role, Cezar, Conrad, kolarz, nowator, sagi, sonet, poliester, Uri, klaps, Sienkiewicz.

Pionowo: Synkopa, Mann, Naruszewicz, Wimperga, Iława, odwrót, dratwa, Neruda, aorta, Orzechowski, taran, Wajda, złoto, laska, ikra, ortalion, radar, Dariusz, Kossak, lutnia, raptus, napis, serw.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 22 — 4 bony książkowe po zł 40 każdy — wylosowali:

Kazimierz Świderski 76-200 Słupsk, ul. Jaracza 31, Wojciech Komorowicz 26-110 Skarżysko-Kam. ul. Staffa 22/2, Stanisław Nowakowski, 22-400 Zamość, ul. H. Sawickiej 30, Jolanta Kędzior, 20-314 Lublin, ul. Przyjaźni 2/10.

listy do kamery

„TOTKOWI MILIONERZY PO 15 LATACH"

W związku z reportażem Stanisława Harasimiuka „Totkowi milionerzy po 15 latach" chciałam wnieść następujące uzupełnienia.

Po pierwsze, w moim odczuciu niepotrzebnie do treści włączone zostały moje dzieci. Wygrana z totolotka przed 15 latami została może niewłaściwie zużyta, ale winę za to ponoszę wyłącznie ja sama i moje dzieci odczuwają dziś nieprzyjemności oraz plotki bez żadnej winy. W takim środowisku jak Biała, każdego każdego zna i w ogóle robi się z igły widły. Ludzie są zawistni i złośliwi i zawsze cieszy ich, gdy komukolwiek coś się nie powiedzie.

Dlatego uważam, że reportaż p. Harasimiuka powinien ograniczyć się wyłącznie do strony interwencyjnej w sprawie mieszkania, do tego, że od lat jestem właścicielką domu i od lat władze miejscowe nie chcą mi pozwolić w nim zamieszkać, mimo że przecież mam zagwarantowane pierwszeństwo, gdyż takie jest prawo. A prawo powinno obowiązywać wszystkich, także i wydział spraw lokalowych w Białej Podlaskiej. Całe moje postępowanie było legalne i zgodne z prawem. Czy za to można być karanym i prześladowanym?

Ja nie chcę ani współczucia, ani żadnej pomocy. Od nikogo. Chcę po prostu sprawiedliwości. Niektórzy zarzucają, że mogę iść do dzieci, u nich zamieszkać. Ale dzieci mają swoje rodziny, swoje kłopoty, a ja na stare lata chciałabym mieć spokój i dożywać jak człowiek, w ludzkich warunkach, na swoim. Nikt mi nie musi robić żadnej łaski, mam swoje mieszkanie, swój dom i powinnam w nim mieszkać, to chyba normalne, ludzkie. Mam swoją ludzką godność i dobrze byłoby, żeby godność mieli też przedstawiciele władz, którzy powołani są do pilnowania, żeby wszystko było sprawiedliwie i praworządnie, a nie odwrotnie. Bo dotychczas w postępowaniu ze mną nie było sprawiedliwości. Czekam na nią i mam nadzieję, że się doczekam. Powinnam, bo żyjemy wszyscy w państwie, które stoi na straży sprawiedliwości społecznej.

Z poważaniem

Olimpia Zajdel
Biała Podlaska

W zasadzie zgadzam się z treścią listu p. Olimpii Zajdel, gdyż nie odbiega ona od głównej zawartości mego reportażu. Sprzeciw budzi jedynie ustawianie piszącego, co powinien umieścić, a co pominąć. Wydaje mi się, że, jak dotąd nikt nie posiadł monopolu na prawdziwe kryteria pisarskiego wyboru, była, jest i długo chyba będzie to kwestia odpowiedzialności samego autora, a więc jego osobistych decyzji. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że inaczej oceniać będzie stosunek swoich dzieci do siebie ich matka, inaczej sąsiedzi, a jeszcze inaczej reporter, znający stanowiska wszystkich zainteresowanych.

Co wyjaśniwszy, szczerze życzę p. O. Zajdel szybkiego uzyskania mieszkania w jej własnym domu.

St. Harasimiuk

Na Tatarach

Dokończenie ze str. 4

jeszcze może znaleźć potwierdzenie. A przecież nie chodzi o to, aby postawić fajkę, iż sprawa kultury na Tatarach została załatwiona, podczas gdy odczucia i potrzeby mieszkańców 16-tysięcznego osiedla będą inne.

A na dzisiaj samorząd mieszkańców proponuje rozwiązanie tymczasowe. Tak bowiem wypadło z urzędowego rozdzielnika, że w nowym pawilonie nr 8 dwa dość duże pomieszczenia otrzymała spółdzielnia „Drewno", która miała tam urządzić punkt usługowy naprawy mebli. Ale na Tatarach prawie wszyscy mają nowe meble i do naprawy prawie nic nie przynoszono. Spółdzielnia więc lokalny punkt usługowy zamieniła na punkt niemal wojewódzki, w dodatku część lokalu przeznaczając na magazyn. Samorząd twierdzi, że takie coś nie jest tu potrzebne i rzekomy punkt usługowy należy zlikwidować, przenieść tam pracownię tapicerską z pawilonu nr 3, a w tym ostatnim po niewielkim remoncie utworzyć klub osiedlowy. Drugi projekt samorządu to urządzenie prowizorycznego boiska i małych boisk do gier na tzw. wygonie — do czasu, aż dotrze tam budowa trasy W-Z. Ponieważ nastąpi to dopiero za kilka lat, boisko będzie można przenieść na teren bazy PKS, która otrzymała nową lokalizację. Już tylko na marginesie mieszkańcy powiadają, że bardzo przydałby się im chociaż jeden bar mleczny oraz przyzwoicie urządzona piwiarnia.

Ostatnio samorząd mieszkańców zyskał nowego sojusznika. Zaproszono bowiem na spotkanie zarząd Towarzystwa Miłośników Lublina. Tak się złożyło, że właśnie tego samego dnia, kilka godzin wcześniej, Prezydium MRN podjęło uchwałę, iż wydziały Prezydium są zobowiązane konsultować z Towarzystwem wszystkie ważniejsze projekty działania, dotyczącego całego miasta lub jego dzielnic. Jest teraz rzeczą władz miejskich i Towarzystwa dokładne rozpatrzenie wysuwanych przez mieszkańców i ich samorząd propozycji, podjęcie odpowiednich decyzji i konsekwentne pilnowanie ich realizacji.

Jerzy Dostatni

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derzek, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch", Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. zam. 2816 16.IX.73, 1966; G-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurendy.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35. Nr indeksu 35-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Z nowego osiedla

JEST ulica, ale nigdzie nie ma tabliczki z jej nazwą. Dlaczego? Czy tak trudno wymalować napis?

Okazuje się, że diabelnie trudno. Jak oświadczył wiceprezes zarządu LSM na zebraniu mieszkańców nowego osiedla im. Sienkiewicza, tabliczki ponoć wykonuje się aż w Zielonej Górze na drugim krańcu Polski, a realizacja zamówienia trwa dziewięć miesięcy. Ponieważ nazwa ulicy została ustalona w lutym, wszystko jest w porządku. Wiceprezes, oczywiście, ironizował. Ale świeżo sprowadzeni lokatorzy żalów mieli sporo.

Jeśli ktoś długo czeka na mieszkanie, jest szczęśliwy, gdy je wreszcie otrzyma. Radość mąci jednak... Właśnie co?

— Ja w sprawie wykonawstwa budynków. Fakt, że budujemy coraz więcej, ale czym więcej budujemy, tym gorzej z wykończeniem mieszkań. Drzwi się nie zamykają, okna trudno dopasować do futryny...

— Oddano nowy blok, ale przez dwa tygodnie nie podłączono gazu. A wiadomo, że do porządków potrzebna jest ciepła woda. Ludzie grzali wodę na maszynkach elektrycznych!

— Czy kierownictwo osiedla wie, że w nocy na dwie, trzy godziny jest wyłączone centralne ogrzewanie? Trzeba bardziej kontrolować pracę palaczy.

— Kto wpadł na pomysł, aby między blokami postawić potężne budynek z pompami do c.o.? Te pompy diabelnie huczą, a przecież na osiedlu powinna być cisza.

— Podłogi w piwnicach nie są wybetonowane. Każdy z lokatorów betonuje na własną rękę. Oczywiście za to się płaci, a należy wątpić, by cement nie był państwowy. W ten sposób stwarzamy warunki do kradzieży materiałów.

— Kto wymyślił, że licznik gazowy zajmuje w kuchni centralną pozycję? Czy licznik musi być w mieszkaniu a nie na korytarzu, jak w innych budynkach?

— Wszędzie zaplanowano boczne oświetlenie. Może to i miedne, ale należałoby wejść w kontakt z handlem, aby zrzygotował odpowiednią ilość kinkietów. W sprzedaży są same brzydactwa. I co ludzie robią? Kują sufity i zmieniają sposób oświetlenia pokoi.

— Już dawno zrobiono wykopy pod oświetlenie ul. Wołodyjowskiego. Wykopy się walą, a słupów nie ma.

— Na tejże samej ulicy źle zrobiono odpływ wody. Poprawiono, uprzednio zerwawszy asfalt. Oczywiście asfaltu nikt już nie nałożył ponownie.

— W korytarzach wbudowano jedną szafę. Jest jeszcze miejsce na drugą, niekiedy i trzecią. Czy nie można tak się umówić z lokatorami, aby i następne szafy instalować zbiorowo?

— W większym pokoju kaloryfer jest na głównej ścianie. Stwarza to trudności przy ustawianiu mebli.

— W pralni brak wentylacji. Ludzie otwierają drzwi na korytarz, zapach mydlin wdziera się do mieszkań.

— Mieszkam już cztery miesiące, a w kuchni kontakty nie działają. Zgłaszam w administracji. I co?

— Założono anteny przystosowane do II programu TV. Proszę sprawdzić w mieszkaniach, jaki jest odbiór!

— Na ul. Wołodyjowskiego wjeżdża się przez zygzak, dlaczego ta ulica jest tak pokrzywiona?

— Liczba mieszkańców osiedla się powiększa: po jednej i po drugiej stronie ul. Bohaterów Monte Cassino stają nowe bloki, a kursuje tu tylko jedna „dwunastka". Dlaczego nie przedłuży się trzy „dziewiątki" do szosy Krańcowej?

— Na osiedlu jest potworne błoto. Budowa — budowa, ale co robią sprzątaczki?

Padały pytania jedno za drugim. Przewodnim skrzętnie notowało. Wiceprezes LSM i kierownik osiedla usiłowali to, czy tamto wyjaśnić. Notowałem do czasu, gdy usłyszałem, że:

— U nas władzę mają budowlani. Nie możemy się z nimi dogadać.

— Od dłuższego czasu szukamy sprzątaczek. Dajemy miesięcznie 2 800 złotych plus 15-procentową premię.

Może się przekwalifikować?

Głosu nie zabierałem. Przypomniałem sobie tylko jak to było, gdy się sprowadzałem. Przywiozłem jedną partię mebli wnieśliśmy ją po schodach, i pojechałem po drugą. Gdy wróciłem, drzwi wejściowe były założone deską, ponieważ w międzyczasie cementowano schody. Kazano mi wnosić meble przez drugą klatkę schodową via piwnica.

Jak myślicie, co uczyniłem? Zgadza się. Państwo mają rację: tylko w ten sposób mogłem zaprotestować przeciwko bezmyślności.

„U nas władzę mają budowlani". Od kiedy? Prasa o zmianie rządów nic nie napisała.

Ale do „Złotej kielni" mam następne kandydatury!

MAJ

— Co dalej robić z tak pięknie rozpoczętym dniem?
Rys. A. Stek

minuta myślenia

Copyright by Sprusiński

W LISTOPADOWEJ „Odrze" Michał Sprusiński („Rzeczywistości i oczywistości polskiej prozy") skarży się, że musi sukcesywnie czytać wydawane utwory prozatorskie. Wolno mu to zajęcie uważać za nużące, rozumiem nawet, że nie jest to wyłącznie osobiste wyznanie, lecz forma krytycznej oceny podawanej na rynek produkcji literackiej. Trudno — dobrowolnie przyjęty obowiązek krytyka. Ja natomiast żadnego obowiązku nie przyjmowałem, dlatego nie muszę czytać wszystkich omówień, szkiców i rozpraw, więc czytam tylko niektóre. Wśród nich znalazł się właśnie artykuł Sprusińskiego i on dał mi posmak goryczki równej chyba — wynikłemu ze znaczniejszej porcji lektury — dysgustowi Sprusińskiego.

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam, że artykułu „Rzeczywistości i oczywistości polskiej prozy" bynajmniej nie przyjąłem niechętnie, na odwrót — uważam go za świadectwo interesującej i bystrej oceny. Czy ze wszystkim zgoda? Nie w tym rzecz, tym bardziej że Sprusiński nie stawia sobie za cel dokładnych pomiarów, natomiast z pozycji krytyka towarzyszy pisarstwu wnikliwą (choć niekiedy zbyt pośpiesznie wyrażaną) refleksją. Zwróciłem natomiast uwagę na pewien szczegół, pewną manierę stylistyczną tym bardziej denerwującą, że zdającą się wchodzić w kanon. Jest nią opuszczanie czasownika tam, gdzie ów czasownik bezwzględnie się narzuca, gdzie jego brak przeszkadza gładkości i potoczystości lektury przecież w tym swoim charakterze powodowanej potoczystością stylu autora. Konieczne są przykłady. Przytoczę tylko parę, te tylko, które nie wymagają cytatów zbyt obszernych:

„Brandys stworzył literackie, świetne stylistycznie dopowiedzenie do wielce literackiej historii tego nurtu myśli i działania, gdzie pospołu romantyzm i śmieszność, skrzeczący realizm i wzniosłość, fatum i przypadek".

„Kotowska pisze o różnych rodzajach spustoszenia moralnego, wiele epizodów ma sugestywną i obrazową wartość, dowodzi wiedzy pisarki o czasie przeszłym, lecz teza „wszystko jest piekłem" — zbyt pozornie powtarzana".

„Teraz doznaje snów, które w tamtym czasie zrodzone, i może dlatego nie rezygnuje".

„Doświadczenia autora „Historii wrogów", niczym nie pomocne w pracy scenarzysty, rozmowy polityczne nie władne dać praktycznego życiowego skutku".

„Zwierzenia pisarza o jego psychologicznych zamiarach, uwagi o możliwościach prozy ciekawsze niż postaci bohaterów, zwłaszcza głównego rezonera".

Poprzestańmy na tym, choć można przytoczyć drugie tyle. Dodam, że pominięcie czasownika w tych zdaniach nie wynika z ich stylistycznego powiązania ze zdaniami bezpośrednio poprzedzającymi, co by się wystarczająco tłumaczyło, w dodatku posiadało efekt skrótu i dobitności.

O co mi chodzi? O taki drobiazg? Niezupełnie to drobiazg. Wytwarza się pewien slang krytyczny. Zamiast krytycznego języka, jesteśmy świadkami powielanego „chwytu" stylistycznego, który pod pozorami dobrych manier otwiera furtkę manierze. Właśnie dlatego, że tak masowo obsiadł tekst Sprusińskiego, nasuwa się podejrzenie, że tekst ten bardziej niż na adekwatność oceny jest uczulony na własną urodę. Przy kosmetyce w dodatku także źle stosowanej, z jakąż euforią preferującej monotonię jednego „najnowszego" środka. Za to prezentowanej z całym arsenałem „dyskretnej" zalotności. Czuje się już etykietkę z napisem „Copyright by Michał Sprusiński".

Obrzydliwa elegancja współczesnej krytyki! Jej „uszlachetniający" tik. Nie powiedzieć „rodzaj poetyki", ale „propozycja", nie „wiersz", ale „realizacja". „Zbitka słów", „cezura wojny", „coś się nakłada na coś" — kiedyż wreszcie te stylistyczne stereotypy przestaną występować pod pozorami zręcznych formułowań i kiedyż autorzy publikacji w działach „recenzje" przestaną nimi inkrustować swoje wypracowania. Czysty krytyczny purpizm. Nie polega on na używaniu brzydkich słów: na wkładaniu wydeptanych pantofli jako butów z ostrogami. Bardzo często krytycy nie wiedzą, że nie mówią. Bardzo często grają w sztony, na które nie ma pokrycia w czytelniczym zainteresowaniu.

Ijon

P.S. Jeszcze przykład na tik wynikły ze „zręczności" krytycznego języka. Sprusiński mówi o Hołuju że w powieści „Raj" powściągliwie komentuje dramat narodowy, bo poprzestaje na ułamkowym przedstawianiu zjawisk. W tej myśli pada sformułowanie: Hołuj „unika wielkiego mianownika". Uczyli nas w szkole, że ze wzrostem mianownika zmniejsza się wartość ułamka, więc Hołuj postępuje akurat na odwrót.

Bogusław Wieczorek

AFORYZMY

Jednomyślność to taki rzadki zbieg okoliczności, kiedy jeden umysł nie ma wpływu na inne.

*

Niejeden odróżnia ziarno od plewy na korzyść tej drugiej.

*

Dbajmy o wygląd wewnętrzny.

*

Tańcząc koło zwierzchnika uczynił krok naprzód.

*

Nie należy mylić kąta widzenia z kątem oka.

*

Źle, gdy honorowe jest tylko miejsce.

Jerzy Leszczyński

FRASZKI

O GRUBOSKÓRNYM

Nie bijąc mocno pięścią w stół
dosłownie słabo by się czuł.

OBCIĄŻENIE PSYCHICZNE

Z marszałkowską buławą w plecaku
już nie tak łatwo iść do ataku.

LAWIRANT

Mówisz mu prawdę prosto w oczy —
to on ci na to, że się boczysz.

UCZĘSZCZANIE

Częściej niejeden rodzic
niż dziecię do szkoły chodzi.

WALERIA SULIMA

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Dwie dziewczyny — Barbara i Zuzanna i... ten trzeci czyli Mariusz. Po awanturze, do jakiej doszło u Mariusza idą na kawę w towarzystwie Niny, siostry Mariusza, i jej sympatii — Roberta. Czy burza została już zażegnana? A oto dalszy ciąg akcji naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante".

(29)

Szli przez park w milczeniu. Robert rozdzielił dziewczyny, Mariusz kroczył z boku, obok niego — Nina. Tak bardzo chciała zapytać brata, co to wszystko znaczy, ale nie mogła tego uczynić w tej chwili. To milczenie wszystkich wprost przytłaczało.

W „Astorii" wszystkie stoliki były zajęte. Nina z Robertem chcieli zaczekać aż któryś się opróżni, ale Basia zaproponowała:

— Wiecie co? Chodźmy lepiej do „Powszechnej". Czuję, że jestem nieco głodna. Może przy okazji zatańczymy?

— Basiu, w takiej sytuacji masz ochotę na tańce? — Mariusz nie mógł powstrzymać się od wypowiedzenia tej uwagi.

— W jakiej sytuacji? A czy to cokolwiek pomoże memu tacie, że nie będę tańczyć? ...ariuszu, jesteś strasznie konserwatywny!

Nina z Robertem wymienili spojrzenia. Wszystkich zdziwiło, że Zuzanna poparła Barbarę.

— Może to i niezły pomysł? Ja bym też coś zjadła. Ale pójdę pod jednym tylko warunkiem: płacę za siebie.

— To ja rezygnuję. Mam tylko dwadzieścia złotych, a przecież nie będę prosiła Mariusza, aby mi pożyczył.

— Gotów jestem pani służyć stoma złotymi — powiedział niespodziewanie Robert nieco ironicznym tonem. Ale Basi to nie zraziło.

— Doskonale. Oddam dług Mariuszowi w przeciągu 24 godzin. Mariuszu — dodała — porachujesz się potem z panem Robertem, dobrze?

— Czy już mam pani wręczyć pieniądze?

— Bardzo proszę.

Robert podał Basi czerwony banknot. Spojrzała pod światło:

— Chyba nie fałszywy? — zażartowała. Robert zobaczył, że ma ładny uśmiech. Przez moment poczuł, że się czerwieni.

W „Powszechnej" było dość pusto, ale szybko podbiegł do nich portier z kartami wstępu. Robert podał pięćsetzłotowy banknot dość długo musieli czekać na wydanie reszty.

— Potem się policzymy — oświadczył, gdy Zuzia usiłowała oponować.

Usiedli na pierwszym piętrze. Kelner proponował połączenie dwóch stolików ale Mariusz stwierdził, że doskonale zmieszczą się przy jednym. Zamówili pięć rumsztyków. Kelner czekał z notesikiem w dłoni.

— A z wódeczki co państwu podać? — zapytał.

— Ćwiartkę żytniej — zadysponował Mariusz.

— Może już lepiej przyniosę pół litra, po co dwa razy chodzić?

Robert machnął przyzwalająco ręką. Orkiestra zaczęła grać tango.

— Proponuję, aby to było białe tango — odezwała się niespodziewanie Basia. — Panie Robercie, czy mogę pana prosić? Pani pozwoli? — dodała, zwracając się do Niny.

— Cóż mam do powiedzenia. Zatańcz, Robercie, kiedy pani tego pragnie...

— Jeśli nie masz nic przeciwko...

Mariusz siedział nieco zdenerwowany. Chciał się odwdzięczyć Basi pięknym za nadobne i poprosić do tańca Zuzannę, ale z drugiej strony musiałby zostawić Ninę samą przy stoliku. Niespodziewanie przyszedł mu z ocieczą jakiś młody człowiek siedzący w kącie sali. Skłonił się przed Niną, lekko uśmiechnął się w stronę Mariusza. Jego twarz wydała się Mariuszowi znajoma.

Nina zrobiła ruch, który mógł oznaczać zarówno zgodę jak i wahanie, ale młodzian szybko ujął ją za rękę.

— Zatańczymy, Zuziu? — zapytał Mariusz, gdy zostali sami.

— Wolałabym następnym razem. Teraz chciałam z tobą chwilę porozmawiać. Ja naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

— O czym, Zuziu?

— No, o Basi. Przecież ona wyraźnie czaruje Roberta.

— Coś ty?

— Tak, nie widzisz tego?

— Może jej się spodobał?

— Nie wiem. Najprawdopodobniej chce ciebie i Ninę wyprowadzić z równowagi. Jestem spostrzegawcza i zauważyłam coś jeszcze.

— Niby co?

— Że uczyniła ona pewne wrażenie na twoim przyszłym szwagrze...

— Nie wierzę. Słyszałaś, jak ironicznie proponował jej pożyczkę?

— Tak, ale ja jednocześnie widzę, że nie spuszcza z niej oka. Przedtem omotała ciebie, a teraz próbuje to samo zrobić z Robertem. Masz najlepszy dowód, jaki ona ma charakter!

Mariusz nie wiedział, czy Zuzanna mówi poważnie, czy też żartuje. Ale ziarno niepokoju już w nim zdążyło zakiełkować.

Tymczasem skończył się pierwszy taniec. Orkiestra miała kilka sekund przerwy. Basia pociągnęła Roberta do stolika.

— To jest białe tango, odprowadzam więc na miejsce pana Roberta i do następnego proszę Mariusza.

— Dziękuję ci serdecznie, ale ja teraz nie mam ochoty na taniec.

— Co? Obraziłeś się zazdrośniku?

Z następnego tańca zrezygnowała i Nina. Podeszła ze swoim partnerem. Ten skłonił się i zwrócił się do Basi:

— Do następnego tańca proszę ciebie.

Basia kiwnęła głową.

— Znasz go? — zapytał Mariusz. — Bezczelny typ.

— Oczywiście, że znam. Ale i ty go znasz, nie poznajesz?

(Dc.n.)